

WAŁBRZYSKIE LEGENDY

DIABŁY, WILKOŁAKI, NIMFY I DRIADY

Każdy kraj a nawet poszczególne regiony we wszystkich krajach Świata posiadają swoje legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie, najpierw ustnie a później również w formie pisanej. Ziemia wałbrzyska ma także tych opowieści co niemiara, a w dodatku, co jest raczej rzadkością, opowiadane są one często aż w trzech językach: polskim, czeskim i niemieckim. Wiąże się to bezpośrednio z ciekawymi, bardzo zmiennymi, historycznymi losami tej dolnośląskiej ziemi.

Zmieniali się władcy tych terenów a w ślad za nimi napływali także osadnicy pochodzący z różnych stron świata. Musieli się jakoś porozumiewać, często mówili mieszanką słów pochodzących z różnych języków. Osiedlając się tutaj, chłonąc i nasycając się miejscową przyrodą, musieli adaptować się do często trudnych warunków topograficznych i klimatycznych. Bali się nieznanego, często jeszcze dziewiczych, nieuczęszczanych miejsc, bali się groźnych zjawisk atmosferycznych.



A poza tym ludzie zawsze lubili się straszyć. Jeśli coś się nie udawało, jeśli zdarzały się nieszczęścia, trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie tych niepowodzeń. Dlatego od dawien dawna prości ludzie, uprawiający w codziennym trudzie rolę lub jakieś przydatne, i potrzebne rzemiosło, za swe nieszczęścia obwiniali zwykle siły nadprzyrodzone. Pod wpływem Kościoła i religii za swe kłopoty najczęściej winili diabła i jego diabelskie czary.

Dlatego diabeł odgrywał główną rolę w wielu opowieściach ludowych i według nich był on najniebezpieczniejszym panem na świecie.

Nawet wiosenne pęknięcie kry na Bystrzycy (przez Niemców nazywanej Weistritz), która ma źródła pod Leszczyńcem (Haselberg albo Cervena hora na granicy z Czechami), w Górach Suchych (to pasmo Gór Kamiennych), przypisywane było diabelskiej robocie. Uważano, że ten łomot pochodzi z diabelskiej kuźni ukrytej w górach, gdzie diabły knują swoje nieczne plany wobec pobożnych ludzi. Choć trzeba uczciwie przyznać, że w pobliskich Czechach słyszy się znacznie więcej opowieści o diabłach niż na naszych terenach.

W wielu miejscach na świecie straszono też ludzi wilkołakami. Na Śląsku legendy o wilkołakach nie były zbyt popularne. No bo kim, lub raczej czym, jest wilkołak? To podobno ludzka dusza, która od czasu do czasu przybiera postać wilka i popełnia straszne czyny atakując ludzi. W okolicach Wałbrzycha opowieści o wilkołakach jest niewiele, mimo iż we wczesnym średniowieczu, a i długo później nie brakowało tutaj drapieżnych wilków. Jedyną, jaką znalazłem, tutejsza legenda o wilkołaku głosi, że dawno temu podczas Wielkiego Postu w lasach koło Kuźnic Świdnickich (Fellhammer) szalał zaciekły wilk, którego później widywano także w różnych innych miejscach. Przypisywano mu wściekłe atakowanie ludzi, szczególnie dzieci. Ponoć ugryzł dziecko w Starym Zdroju (Altwasser), dwoje dzieci w Kuźnicach Świdnickich a nawet rozszarpał i pożarł dzieci w Białym Kamieniu (Weißstein), w Kamieńsku (Steingrund) i w Jedlince (Tannhausen). To straszne wilczyisko było tak zawzięcie ścigane, że musiało w końcu wynieść się z wałbrzyskiej ziemi. Być może zdechło gdzieś zaszyte w głębokim lesie, bo w końcu przestano o nim mówić.

Ale w czasach kiedy ten straszny wilk grasował jeszcze w okolicy wystraszeni ludzie rzucili straszne oskarżenie na samotnego, starego człowieka mieszkającego pod lasem na skraju

Kuźnic Świdnickich. Podejrzewano, że to właśnie ten stary, zgarbiony, schorowany i zaniedbany człowiek, zwany „Starym Gumprichem” zmieniał się późnymi wieczorami w tego wilka. Biedny „stary Gumprich” z pewnością musiał niemało wycierpieć z powodu przesądów swoich bliźnich, przypisujących mu grzechy drapieżnego zwierzęcia.

Niejaki Paul Kerber w swojej książce „Dzieje Zamku i Wolnych Posiadłości Fürstenstein”, wydanej w 1885 roku, pisze, że w czasie wojen śląskich (1740-1763), prowadzonych przez Austrię i Prusy, liczebność wilków żyjących w górach przy granicy z Czechami oraz w okolicach Ślęzy (Zobtenberg) była tak znaczna, że obawiano się nawet wypędzać bydło na pastwiska. Rząd nawoływał do likwidacji drapieżników oferując znaczne premie za dostawę wilczych skór. Autor ten odnotował, że w 1784 roku, w okręgu Lubiechów (Liebichau) zabito wilczycę z sześcioma młodymi, a w marcu 1789 roku w okręgu Pełcznica (Polsnitz) zabito wilczycę z siedmioma szczeniętami.

Dzisiaj nie wierzymy już w to, że mogą istnieć istoty czerpiące przyjemność ze straszenia i zadreczania ludzi nocami, lub z pozbawiania ich sił życiowych poprzez wysysanie krwi z ich ciał. Ale legendy głoszą, że dawnymi laty dochodziło do takich strasznych zdarzeń, ba, ponoć dochodziło nawet do zabijania ludzi przez wampiry i upiory.

Ciekawe i równie niesamowite są opowieści o kobietach - driadach, nimfach drzewnych, mających jakiś dziwny związek z dziką przyrodą. Romantyczni poeci Mickiewicz i Słowacki pisali o wodnych boginiach, topielicach i temu podobnych stworzeniach. Ponieważ nie mamy tu wielkich jezior, tutejsze czarownice-latawice miały mocny związek nie z wodą, tylko ze wzgórzami i lasami, szczególnie zaś z niektórymi drzewami. Driady były wyznawczyniami kultu Matki Natury. Stroniły od innych ludzi, najmocniej kochały swój święty las. Ich społeczność składała się tylko z kobiet. Driady potrafiły bezszelestnie poruszać się po lesie i nawet w gęstym lesie przeskakiwać zwinnie z drzewa na drzewo. Czuli niepokonani, tajemniczy i szczególnie silny pociąg do niektórych, wybranych drzew, musiały się do nich przytulać całym ciałem, najczęściej czyniły to późnymi wieczorami. Poza tym były raczej niegroźne. Jednak ścięcie drzewa, z którym taka driada była szczególnie związana, nieuchronnie powodowało także jej śmierć.

Ponoć w Rybnicy Leśnej (Reimswaldau) mieszkała kobieta, która była taką driadą, choć mąż o tym kompletnie nie wiedział. Co wieczór potajemnie wychodziła na skraj pola, pod las i przytulała się do rosnącej tam brzozy. Kiedy kochający mąż dowiedział się o przyczynie jej nocnych wycieczek, zrobiło mu się jej żal i postanowił jej pomóc. Aby nie musiała tak daleko chodzić, kazał ściąć brzozę i przywieźć ją na podwórze swego gospodarstwa. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wraz z usychającym drzewem także kobieta będzie powoli usychać i wkrótce umrze.

Podobny los spotkał dwie córki karczmarza w Sobótce (Zobten) pod Ślęgą. Często wieczorami wychodziły razem do lasu, kierując się do swych ulubionych drzew, na które następnie wspinały się i przytulały do ich gałęzi. Pewnego razu, późnym wieczorem ojciec przypadkiem usłyszał, jak rozmawiały ze sobą. Jedna mówiła: „Oj, jak dzisiaj zimno na dworze, a ja jeszcze muszę iść do mojej kochanej, olbrzymiej lipy”. Na to druga odpowiedziała: „Hej, a co ja mam mówić - muszę jeszcze biec do mojej wierzby nad stawem”.

Współczujący ojciec ściął oba drzewa, aby oszczędzić swoim córkom nocnych spacerów. Nie wiedział, że w ten sposób nie tylko ściął dwa drzewa, ale również przerwał wątki życia obu siostr, ściśle związanych z życiem tych drzew.

Ale to są chyba już zanadto oderwane od rzeczywistości opowieści z krainy baśni. O wiele ciekawsze są legendy dotyczące powstania samego Wałbrzycha (Walbenburga) i związane z okolicami tego „Leśnego Grodu”.

LEGENDY O POWSTANIU MIASTA

Wiemy, że Wałbrzych, czyli Waldenburg istniał już na początku XIV wieku, lecz nie znamy dokładnej daty założenia miasta. Nie wiemy też jakim okolicznościom miasto zawdzięcza swoją nazwę. Świdnicki kronikarz Ephrain Ignatius Naso, autor „Phoenix redivivus” z 1667 roku, który często nieźle fantazjował, pisał że w XII wieku, w miejscu przyszłego miasteczka rósł wielki, dziki orzech. Wokół niego rozciągała się niewielka polanka, ponieważ orzech nie toleruje w pobliżu innych drzew. W sąsiedztwie tego dzikiego orzecha istniał stary domek myśliwski i mały, drewniany kościółek mieszczący w swym wnętrzu źródło leczniczej wody. Ponoć już począwszy od 1191 roku odbywały się tam regularne, ludowe pielgrzymki. Dlaczego Naso podał akurat tę datę nie wiadomo. Dalej pisze, że część pielgrzymów pozostała na dłużej w tym uświęconym miejscu i wokół małego kościółka zbudowała swe pierwsze drewniane domostwa. Przybyszów i ich domów wciąż przybywało, aż po latach w lesie wyrosło małe miasteczko.

Według tej opowieści nazwa Waldenburg wzięta się albo od lasu i starego grodu powstałego wśród lasów, albo od wałów (Wallen), którymi miasteczko miało być otoczone. Prawdą jest, że jeszcze w XIX wieku mieszkańcy Wałbrzycha budując domy w rejonie ulic Garbarskiej, Młynarskiej i Moniuszki mówili, że domy te budowane są „Na Grodzisku”.

W ludowych przekazach funkcjonowała przez lata inna, popularna legenda. Opowiada ona, że pewnego razu hrabia von Neuhaus, wraz z wieloma towarzyszącymi mu ludźmi, wybrał się w tutejsze lasy na polowanie. Goniąc za zwierzyną myśliwi zapędzili się w rozległe, poryte wąwozami i wzniesieniami, niedostępne wałbrzyskie lasy. W pewnym momencie psy wypłoszyły z gąszczy dużego rogacza, którego myśliwi ścigali z takim zapałem, że zupełnie stracili orientację w terenie. Hrabia ponaglał swych towarzyszy, w końcu wyprzedził pozostałych i znacznie oddalił się od nich, chcąc jako pierwszy dopaść upragnioną zwierzynę. Udało mu się tego dokonać, wystrzelił pocisk z kuszy i tym strzałem położył jelenia na ziemię mocno go raniąc. Kiedy rogacz jeszcze krwawił, rycerz zeskoczył z konia by myśliwskim zwyczajem miłosiernie go dobić i nie dopuścić, aby zwierzę niepotrzebnie się męczyło. Jednak wtedy wściekłe z bólu zwierzę gwałtownie wstrząsnęło głową i ugodziło myśliwego rogami tak mocno, że krew z rannego boku rycerza popłynęła strumieniem mieszając się na leśnym mchu z krwią jelenia.

Oslabiony utratą krwi myśliwy padł na ziemię w pobliżu zwierzęcia. Wkrótce zaczęło go dręczyć palące pragnienie, ale żadnego z myśliwych nie było w pobliżu i nikt nie mógł mu podać kropli jakiegokolwiek napoju. W ostatecznej rozpacz ranny błagał o pomoc miłosierną Marię, Matkę Boską. I oto nagle usłyszał tuż obok srebrzysty dźwięk bulgoczącego źródła; z wielkim trudem podciągnął się do niego i zdołał ugasić pragnienie. Jak gdyby nowe życie zaczęło płynąć w jego żyłach i - o cuda!, jego rany również zaczęły się zamykać! Obmył się trzykrotnie w cudownej wodzie i krwawienie ustało, rany się zagoiły. Z nową, wielką siłą zadał w róg, by wezwać pozostałych myśliwych. Zanim towarzysze przybyli, Neuhaus ukląkł i podziękował Maryi za cudowną pomoc, ślubując wybudować kaplicę obok tego cudownego źródła.

Spełnił swoje śluby i wkrótce w środku lasu stanął drewniany kościółek maryjny, miejsce miłosierdzia, sanktuarium, do którego zaczęły przybywać tysiące ludzi ze wszystkich bliższych i dalszych zakątków tej leśnej i górzystej ziemi, aby uleczyć się ze swych dolegliwości i słabości. Jak to zwykle bywa, wokół małego kościółka szybko osiedlili się też kupcy, oferujący pielgrzymom noclegi, zakwaterowanie, jedzenie i picie.

Legenda mówi, że właśnie taki był początek nowego miasta, a ponieważ leżało ono na wzgórzu, które wkrótce otoczono murem, nazwano je Wallenbergiem.



Faktem jest, że piękny, maleńki kościółek Matki Boskiej Bolesnej, stoi do dzisiaj w samym centrum miasta przy placu Kościelnym. Nie jest już obiektem drewnianym, pewnie był później kilkakrotnie przebudowany; wiadomo, że gruntowna przebudowa miała miejsce w 1714 roku. To właśnie w tym miejscu biło owo legendarne źródło, wokół którego powstała pierwsza wałbrzyska osada. We wnętrzu kościoła, tuż za ołtarzem, nadal znajduje się niewidoczna z przodu, sucha już dzisiaj, murowana studzienka, która ujmowała rzeczywiście istniejące tam źródło. Centralne miejsce przy ołtarzu zajmuje piękna, gotycka, polichromowana figurka Matki Boskiej Bolesnej.

Pierwszy kronikarz Waldenburga, burmistrz Jänsch, a po nim jego kopista Julius Schrodtt, wskazują na inne, może nieco bardziej prawdopodobne wyjaśnienie nazwy miasta. W dawnych czasach w miejscu, gdzie później stanął staroluterański kościół i szkoła (przy obecnym skrzyżowaniu ulicy Mickiewicza z ulicą Garbarską), w średniowieczu przebiegał wysoki wał, mur za którym stał podobno domek myśliwski pana Czettritz z Nowego Dworu (z pobliskiego zamku Neuhaus). Nazywany był zamkiem w lesie („Burg im Walde”) i to właśnie od niego miało wziąć ostatecznie swą nazwę rozwijające się miasteczko. Ale ta opowieść także jest tylko legendą i nie ma żadnego potwierdzenia w historycznych faktach.

Zupełnie bezpodstawnymi wydają się natomiast inne fantastyczne twierdzenia dawnych kronikarzy jakoby głównym czynnikiem, jaki przyczynił się do rozwoju nowego miasta było założenie w tym miejscu klasztoru. Między innymi ma świadczyć o tym przytaczana przez nich, następująca, ciekawa legenda:

Z jednej z czeskich wsi, z regionu Broumova (Braunau), w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przybyła do Waldenburga procesja wiernych, aby modlić się przed tutejszym, cudownym obrazem, znanym już szeroko w całej okolicy. Przodem szedł ubrany na białą człowiek niosący krzyż oraz proboszcz z dwoma ministrantami. Tuż przed celem pielgrzymki tych pobożnych ludzi zaskoczyła gwałtowna burza w środku lasu. Błyskawice i grzmoty następowały po sobie z niesamowitą szybkością, tak, jakby oszalała natura zbuntowała się nawet przeciwko sobie. Wysokie sosny łamały się jak cienkie patyki, a stara, rozłożysta jodła złamała się tuż przed czołem procesji. Głęboko przerażony ksiądz poprzysiągł zbudować klasztor w Waldenburgu, jeśli tylko on i jego parafianie wyjdą cało z tej okropnej sytuacji. I wtedy natychmiast niebo się przejaśniło, a promienie słoneczne rozświetliły piękny krajobraz, jak gdyby nigdy nie było inaczej. Proboszcz szybko zapomniał o swej pobożnej obietnicy i nie myślał już wcale o budowie klasztoru ku czci Maryi. Lecz wkrótce potem, podczas odprawiania mszy w swoim kościele, ukazał mu się anioł w białej szacie, z groźnym wyra-

zem twarzy, ostro spoglądający na niego. W jednej ręce trzymał model klasztoru a w drugiej, wypisane złotymi literami na błękitnym tle, jego własne śluby kapłańskie. Dopiero wtedy przestraszony ksiądz postanowił zrobić wszystko, by dotrzymać ślubowania. Zbierał pieniądze, a przede wszystkim namawiał właściciela tych ziem, Georga von Czettritz, do pojęcia prac związanych z budową klasztoru. Tak się też stało, a skruszony wikariusz został jego pierwszym przeorem. Klasztor miał za zadanie udzielać schronienia i zapewniać żywienie pielgrzymom przybywającym z daleka, aby odwiedzić znajdujący się właśnie tam cudowny obraz Matki Boskiej.

Niestety, oprócz tej legendy, nie ma żadnych innych dowodów mówiących o tym, że w Wałbrzychu kiedykolwiek istniał jakiś klasztor. Jedyne, co wydaje się pewne, to to, że Georg von Czettritz zbudował pierwszy kościół katolicki w Waldenburgu. Jako datę budowy tego kościoła podaje się rok 1440.

Do kompletu takich opowieści warto przypomnieć jeszcze jedną, dość dziwną legendę, związaną z wałbrzyskim kościółkiem Matki Boskiej.

Wśród ludzi, którzy osiedlili się w Waldenburgu była ponoć także Santa Paola, dziewczyna niezwykle urody. Czarne włosy opadające lokami na ramiona, pełna, okrągła, anielska twarz z istic rzymskim nosem, czarne ogniste oczy, różowe policzki z pięknymi ustami jakby ukształtowanymi do całowania, piękna, szczupła sylwetka i ognisty włoski temperament, do tego zgrabna stopa i miła mała rączka czyniły ją podobną do bogini. Uciekała jednak przed cisnącymi się do niej adoratorami. Legenda mówi, że trafił się jednak młodzieniec, który nie odstępował jej nawet na krok. Nie można winić zakochanego młodzieńca, że śledził każdy ruch pięknej Santa Paoli. Podążył za nią nawet do kościółka, gdzie kobieta chciała się przed nim schronić. W udręce błagała o pomoc miłosierną Matkę Boską, obmyła twarz wodą ze świętego źródła, po czym z umocnionym w ten sposób sercem postanowiła stawić czoło prześladowcy.



Odwróciła się do niego, ale ten cofnął się wtedy od niej z widocznym zaskoczeniem i przerażeniem; stojąca naprzeciw niego kobieta była okrutnie oszpecona gęstą, dziką, czarną brodą. Dopiero po chwili, po odzieniu i po oczach rozpoznał swoją ukochaną Paolę i przezwyciężając swoją szczerą miłością wszelką odrazę, objął ją za szyję i serdecznie całował. Wówczas Santa Paola poznała czystość uczucia młodego człowieka. Maria także zlitowała się nad klęczącą przed nią parą i usunęła brzydką brodę szpecącą twarz czystej dziewicy. Oczywiście, jak to zwykle w takich opowieściach bywa, pobrali się i byli najpiękniejszą parą, żyjącą spokojnie w Waldenburgu.

Źródłem tej rzekomo wałbrzyskiej legendy jest dość szeroko rozpowszechniony „Mit o świętej Kumernis”, której wizerunek - jako ukrzyżowanej, brodatej kobiety - można spotkać tu i ówdzie na Śląsku.

W Wambierzycach można nawet zobaczyć rzeźbę przedstawiającą tę świętą. Tam nazywana jest Wilgefortis.

Dziwnym jest też, nawet jak na legendę, że Włoszka Santa Paola, dotarła w tamtym czasie do tak odległego od jej ojczyzny, surowego Waldenburga. Można, więc śmiało przypuszczać, że legenda ta nie wzięła się z wałbrzyskiej ziemi, ale przeniesiona została z dużo dalszych okolic, a tu została po prostu dostosowana do miejscowych realiów.

Zagraniczne wpływy odegrały też prawdopodobnie pewną rolę w relacji Nasosa w „Phoenix redivivus”, mówiącej o tym, jak w czasie wojny trzydziestoletniej jakiś prymitywny żołnierz odciął nos drewnianej Piecie w małym kościółku maryjnym, po czym, oczywiście, musiał ponieść srogą karę. Musiał nędznie zginąć - zmarł zaraz następnego dnia. Przypomina to losy i oburzenie wywołane uszkodzeniem przez żołnierzy szwedzkich obrazu "Czarnej Madonny" z Częstochowy.

W książce „Legends Karkonoszy” z 1887 roku, jej autor, niejaki Kloze, podaje nieco inną wersję tej historii. Ponoć około 1630 roku pewien zły człowiek zbezczeszczył cudowny, wałbrzyski obraz Maryi. Od tego czasu obraz przestał cudownie działać na ludzi. A bezbożnik zmarł nieszczęśliwie, co, oczywiście było sprawiedliwą karą za ten niegodny czyn.

Wspomniany już Naso pisał też, ponoć według opowieści starych ludzi, że w czasie wojny trzydziestoletniej żołnierze podpalili kościółek w pobliżu drzwi wejściowych, ale ogień ledwo nadgryzł ściany, gdyż wiatr natychmiast się odwrócił i drewniany budynek został uratowany przez bogobożnych mieszkańców, nie doznawszy większych uszkodzeń. Wydaje się, że prawda i fikcja mocno się tutaj mieszają.

Warto przypomnieć, że przed trzystu laty czasami wałbrzyskie pola i łąki były tak białe, jak później, aż do końca XX wieku, bywały szare lub czarne. A to dlatego, że wówczas produkowano tutaj tyle samo płótna, ile później wydobywano węgla. Płotno było bielone a następnie rozkładane na wałbrzyskich łąkach i suszone na słońcu. Przez całe XVIII stulecie podstawowym zajęciem tutejszej ludności było chałupnicze tkactwo lniane i wełniane. Początkowo wyrabiano tu jedynie przędzę i tkano tylko grube samodziały. Stopniowo uzyskiwano jednak coraz lepsze płótno. Apogeum rozwoju rzemiosła tkackiego w Wałbrzychu i w regionie wałbrzyskim przypada na wiek XVIII. Wałbrzych był wtedy wraz z Jelenią Górą (Hirschbergiem), Kowarami (Schmiedebergiem) i Kamienną Górą (Landeshutem) siedzibą bogatych kupców i handlarzy płótnem.

To wtedy na wałbrzyskim rynku wzniesiono okazałe, barokowe, kupieckie kamienice a symbolem handlu z całym światem jest zachowana do dzisiaj kotwica umieszczona na szczycie jednej z tych kamienic. Wśród kupców płóciennych byli oczywiście także ludzie źli, którzy bezwzględnie wykorzystywali biednych tkaczy. Poniższa legenda opowiada właśnie o człowieku z bardzo twardym sercem, który utuczył się na pocie tkaczy.

Znany, bogaty kupiec z Waldenburga siedział sobie na kamieniu, pykając fajeczkę i grzejąc się na słońcu, przy ścieżce biegnącej na Górę Maślaną (Butterberg), gdzie mieściły się liche zagrody biednych tkaczy. Widząc przechodzącego starego, zgarbionego, siwego tkacza dźwigającego rulon płótna, przywołał go do siebie, kazał rozwinąć płótno, spojrzął z niechęcią na jego splot i odprawił go bez słowa, gestem tylko wskazując miasto jak gdyby każąc mu iść tam szukać sobie szczęścia. Starzec spojrzął na niego z niemym wyrzutem swymi zmęczonymi, mętnymi oczami i zgarbiony wolno odszedł.

Kiedy kupiec wrócił zadowolony ze spaceru, usłyszał w mieście, że starzec, którego tak pogardliwie potraktował, zmarł. Przeżegnał się, przypominając sobie jego oskarżające spojrzenie. Ale to nie koniec historii. Od tego czasu kupcowi zaczęło się coraz gorzej powodzić w interesach. Nie dane mu też było, tak jak dawniej, cieszyć się swym ulubionym miejscem spacerów i wypoczynku. Kiedy tylko tam docierał, zawsze pojawiał mu się na ścieżce duch tkacza płynący w powietrzu. Duch tego martwego człowieka nawiedzał to miejsce, zbliżał się do twarzy kupca i patrzył mu z wyrzutem w oczy swymi pustymi oczodołami. Ponoć działał się tak dopóki latający tkacz nie uspokoił swego ducha, widząc że kupiec stracił już całą swą

zarozumiałość i arogancję. Wówczas, gdy kupiec znowu znalazł się na ścieżce za miastem, duch zamienił się w dużego trzmiela, który trzepiąc skrzydłami zepchnął kupca ze ścieżki i skierował go aż do odległej, zarastającej już dziką roślinnością, tkackiej zagrody na Górze Maślanej (Butterberge). Tam dopiero zniknął na zawsze i kupiec, po takiej nauczce, mógł wreszcie odetchnąć. Wzgórza nazywane w tej legendzie Butterbergiem, czyli Górą Maślaną znamy dzisiaj jako Niedźwiadki. Niedźwiadki z ich najwyższym wzniesieniem, noszącym też tę samą nazwę, rozciągają się długim pasmem od Nowego Miasta aż do Podgórze i ulicy Świdnickiej.

To nie są wszystkie legendy związane z Wałbrzychem. Jest ich jeszcze wiele, ale te są najstarszymi. Jeśli trafię na kolejne, równie stare, choć nie do końca historyczne baśnie, nie omieszkać dopisać je do tego co tu opowiedziałem.

Pora rozejrzeć się po okolicy. Ziemia Wałbrzyska obfituje w ciekawe a czasami wręcz niesamowite pamiątki historyczne.

LEGENDY O PODWAŁBRZYSKICH ZAMKACH

Oryginalne a nawet nieco straszne, jak to ludowe opowieści, są legendy dotyczące starych zamków rozsianych wokół Wałbrzycha. Wielu czytelników zna potężny zamek Książ (po niemiecku nazywany Fürstenstein), wznoszący się w gęstym lesie nad wąwozem rzeki Pełcznicy (Leisebach lub Helle Bach). Ale nie wszyscy wiedzą, że w okolicach Wałbrzycha można znaleźć pozostałości wielu innych, zwykle jeszcze średniowiecznych grodów i zamków. W opowiadaniu tym znajdą się legendy dotyczące takich starych, górskich zamczysk jak: Radosno (Freudenburg), Rogowiec (Hornschloss), Grodno (Kynsburg) i Nowy Dwór (Neuhaus).

KSIAŻ

Zacznijmy jednak od legend dotyczących Książa. Oto pierwsza z nich.

W dniu, w którym jednemu z dawnych właścicieli Starego Zamku Fürstenstein (Starego Książa) urodziła się trzecia córka, zerwała się potężna burza, która szalała nad zamkiem przez trzy dni. Wezwano astrologów aby wyjaśnili to dziwne zjawisko.

Ci zgodnie przepowiedzieli, że dziecko wyrośnie na piękną pannę, lecz nie dane jej będzie cieszyć się rodziną, bowiem jeszcze przed ślubem zginie w czasie podobnej, strasznej zamieci.

Ukochana, najmłodsza córka właścicieli Starego Książa, rzeczywiście wyrosła na piękną pannę, która szybko znalazła wielu zalotników. Rodzice, wierząc w spełnienie się proroctwa astrologów odrzucali jednak uparcie wszystkie składane przez nich małżeńskie propozycje. Siostry wyszły za mąż i opuściły już dom rodzinny a ona mogła jedynie patrzeć na ich szczęście.



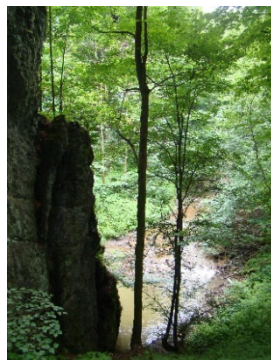
W końcu zjawił się kandydat, który nic sobie nie robił z tych przerażających przepowiedni. Panna długo się opierała, odrzucając jego zaloty, jednak wraz z upływem czasu jej opór słabł, gdyż młodzieniec był nadzwyczaj urodziwy i nadzwyczaj uparty. W końcu powiedziała „tak”, mając nadzieję, że zła przepowiednia się nie spełni.

Dzień ślubu wybrano licząc na utrzymanie się pięknej, słonecznej pogody, jaka panowała w okolicy od kilkunastu dni. Szczęśliwa panna młoda wsiadła już do powozu, który miał ją wraz z wybrankiem zawieźć do kościoła, gdy nagle, z niezwykłą gwałtownością, rozpętała się okropna burza. Musieli wysiąść z powozu i schronić się z powrotem w zamku aby czekać na poprawę pogody. Jednak burza nie ustawała, wichury bez przerwy szarpały drzewa w zamkowym parku łamiąc nawet potężne buki w gęstych lasach otaczających zamek.

Wokół rozlegały się potężne grzmoty a błyskawice raz po raz uderzały w zamkowe wieże. Przez trzy dni trwała taka niesamowita, „zaczarowana” pogoda otaczająca niefortunny dom weselny. Kilka razy panna młoda chciała mimo wszystko wyzwać los, ale powstrzymały ją gorące prośby zdesperowanych rodziców. Wreszcie wieczorem trzeciego dnia nieszczęsna kobieta wyrwała się służbie, wybiegła na dziedziniec i zrozpaczona z powodu wciąż niewiarygodnie wściekłej pogody, wyciągnęła w górę ręce i wykrzyczała w stronę ciemnego nieba: „Więc przyjmij swoją ofiarę!”. Ledwie to powiedziała uderzył w nią piorun zabijając ją na miejscu.

Burza wkrótce minęła i czyste, niewinne niebo zalśniło błękitem nad Starym Zamkiem, który przed chwilą był sceną tak ponurego dramatu. Zrozpaczeni rodzice, przybici nieszczęściem opuścili Stary Zamek, który od tamtej pory pozostał niezamieszkanym i dzisiaj możemy już tylko oglądać jego smutne ruiny...

Przez książański park krajobrazowy płynął i wciąż tamtędy płynie Czarci Potok (Höllensstrom), który dawniej ponoć czasami tak mocno szumiął, że prawie ryczał. Zwykle działo się tak, gdy na wyżynach szalał olbrzym mieszkający wśród wysokich i stromych skał otaczających Stary Zamek. W nocy olbrzym ten zostawiał swoją ulubioną grzędę, swoje legowisko znajdujące się na skalnej półce wiszącej nad okropnymi głębinami i ganiał bez opamiętania po okolicy. W końcu te jego wypadki źle się skończyły.



Pewnego razu, skacząc bezmyślnie po skałach spadł do gigantycznej przepaści, która stała się jego grobem - runął z wysoka i tam znalazł swoją śmierć w wąwozie ziejącym chłodem i wilgocią. Od tamtego czasu Czarci Potok płynie już znacznie spokojniej. Książański wąwóz jest rzeczywiście głębokim, skalistym kanionem, osiągającym nawet do 80 metrów głębokości, a z jego ścian wyrastają skały wysokości kilkunastu metrów...

Przed dziesiątkami lat w pobliżu zamku Książ włóczył się nocami zabłąkany, wielki czarny pudel. Nikogo nie atakował, pojawiał się tylko i znikał niepostrzeżenie w sosnowym lesie. Ponoć mieszkał nad tym Czarcim Potokiem i miał legowisko z liści na jego dnie. Legenda głosi, że Hellebach (Höllebach?) zawierał złote ziarna a ten wielki, czarny pudel strzegł dostępu do tego miejsca. Jeśli się nie boicie możecie spróbować dotrzeć do tego niedostępnego miejsca. W pobliżu zamku biegnie ścieżka, zwana Ścieżką Złodzieja.

Idąc nią dotrzecie do małej strugi, znanej jako Smalec. Idźcie dalej wzdłuż tej wody aż do starego rowu, który był kiedyś rowem młyńskim, a dojdziecie do miejsca, gdzie rów będzie już wypełniony wodą. W tej wodzie zobaczycie na dnie zielone ziarno. Ponoć był człowiek,

który zebrał to ziarno, wyszorował je i wyczyścił, a po trzech dniach sprzedał za 40 guldenów. Bowiem tym ziarnem było najprawdziwsze, naturalne złoto. Czy w Czarcim Potoku było złoto? Nie wiem, na pewno niewielkie ilości rodzimego złota znajdowano dawnymi laty w Złotym Potoku, będącym lewym dopływem Bystrzycy...

Ludzie zawsze bali się chorób. Szczególną trwogą przejmowały ich choroby deformujące ciało i szpecące twarze. Stąd brały się opowieści o strasznym losie ludzi porażonych dżumą czy ospą. Na podgrodziu mieszkał kiedyś rycerz, który nie z własnej winy, nawet nie wiedząc o tym, zaraził swoją żonę ospą, przywleczoną gdzieś z dalekich wypraw wojennych. Kiedy kobieta usłyszała od sprowadzonego doktora, że jej dzieci także zachorowały na ospę, zajęła się nimi z wielkim oddaniem i pielęgnowała je całymi dniami i nocami dopóki nie wyzdrowiały. Niestety opłaciła to własnym życiem. Świadomie odizolowała się wtedy od otoczenia zamykając się w odosobnionej komnacie, nie wychodząc z niej nawet na krok. Świadomie przyjmując zarodek śmierci przez własny organizm nie pozwoliła, aby choroba rozszerzyła się na kolejne osoby mieszkające na podgrodziu. A przecież były to czasy kiedy zarazy potrafiły dziesiątkować całe miasta, okręgi a nawet kraje...

Były też opowieści baśniowe. W tutejszych dolinach, w zagajnikach nad strumieniami mieszkwały małe panny wodne, nimfy czy też rusałki, znacznie mniejsze i bardziej ulotne niż syreny morskie.

Na skalistym, stromym zboczu góry wznoszącej się nad jedną z wałbrzyskich dolin zakwitł kiedyś samotny kwiat niesłychanie cudownej urody. Nikt nie wiedział skąd się tam wziął. A była to właśnie zamieniona w kwiat rusałka, którą porwał kiedyś z doliny zły władca zamku stojącego na wysokim wzgórzu ponad doliną. Kiedy przed laty ten rabuś i jego kompani wspinali się na zamkowe wzgórze, pannie wodnej udało się wyśliznąć i zbiec. Aby uniknąć pogoni, która natychmiast za nią ruszyła, za pomocą znanego sobie mocnego zaklęcia, sama przemieniła się w ten cudny kwiat. W ten sposób uciekła przed prześladowcami, ale nie mogła już wrócić do doliny.

Na szczęście po kilku latach, pewnego razu do tej samej doliny dotarły dwie dziewczyny podróżujące wspólnie ze swym dzielnym, młodym opiekunem. Po długiej podróży panny były mocno zdrożone i spragnione. Wówczas, niespodziewanie pojawiła się inna, mieszkająca w dolinie nimfa wodna i pokrzepiła je wodą pobraną z czystego potoku. Spytana, czego chciałaby w nagrodę za ten uczynek, rusałka poprosiła, aby w nagrodę panny nakłoniły towarzyszącego im rycerza do uwolnienia ich siostry. Nie było to łatwym zadaniem, ponieważ skała wznosząca się ponad doliną była bardzo śliska i stroma. Mimo wielu trudności dzielnemu rycerzowi udało się jednak pokonać wzniesienie, zdobyć magiczny kwiat i przynieść go do doliny. Dopiero tam, po zanurzeniu kwiatu w potoku, zaklęta rusałka mogła wrócić do swej pierwotnej postaci i połączyć się z rodzeństwem...

ZAMKI RADOSNO I ROGOWIEC

Kilka ciekawych legend wiąże się z zamkiem Radosno (Freudenburg). Dzisiaj są to już tylko ruiny położone na wzgórzu, w cichej, leśnej samotni, w pobliżu Sokołowska (Görbersdorf). Wspomniany już autor „Legendy Karkonoszy” z 1887 roku zapisał trzy opowieści związane z tym zamkiem.



Mówiono, że dawni panowie z Freudenburga byli niestęchanie bogaci, tak bogaci, że nie trzymali swoich skarbów w zamku, ale rzucali je na stos usypany przed podjazdem zamkowym i zasypywali go następnie gruzem i ziemią, tak jak to robi rolnik, który nadwyżkę ziemniaków składa w kopcu, obsypanym następnie ziemią.

Z czasem jednak nierówności zostały zniwelowane, zieleń pokryła ziemię, całe wzgórze pokrył gęsty las i dzisiaj nie można już znaleźć śladów wskazujących gdzie ukryto te skarby ze szlachetnych metali i drogocennych kamieni.

Ale mieszkańcy tych ziem przez całe lata nazywali wzgórze, na którym stał zamek, Goldbergiem, czyli Złotą Górą.

A były tam też inne niezwykłości. Ponoć w starej wieży zamkowej miała gniazdo kawka, która znosiła złote jajka. Później te jajka w jakiś nieznany sposób trafiły nawet do klasztoru w Krzeszowie (Grüssau).

Mówiono też, że zamek Radosno miał być dawniej połączony podziemnym korytarzem z zamkiem Grodno w Zagórzu Śląskim (z zamkiem Kynsburg). Korytarz ten nazywany był „sekretną ścieżką”. Nie mógł biec po powierzchni ziemi, ponieważ służył mieszkańcom obu zamków jako kryjówka w czasie wojen husyckich, w pierwszej połowie XV wieku.

Do tej pory nie udało się jednak odnaleźć tego korytarza...

Niedaleko Radosna wznosił się drugi ważny zamek - Rogowiec (Hornschloss).

Oba zamki zbudowano w końcu XIII wieku dla ochrony starego, średniowiecznego traktu handlowego, zwanego Wysoką Drogą, łączącego Śląsk z Czechami. Zamek Rogowiec wzniesiono wysoko ponad traktem prowadzącym doliną Rybnej, pomiędzy Rybnicą Leśną (Reimswaldau) a Grzmiącą (Donnerau), na szczycie góry, także zwanej Rogowcem (870m nad poziomem morza).

Od strony jeszcze wyższego szczytu Jeleńca (902m) do zamku prowadziła wykuta w kamieniu Skalna Brama. Dzisiaj w tym miejscu, w skalnej ścianie osadzona jest kamienna tablica Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego z napisem : „Tym co na zawsze odeszli i tym co przyjdą po nas, Wałbrzyscy Wędrowcy 2004”.

Zachowane, rozległe ruiny murów i baszt świadczą o wielkości tego mocno ufortyfikowanego zamku górującego nad okolicą.

Z zamkiem wiąże się szereg ciekawych opowieści.



Po śmierci księżnej Agnieszki, wdowy po księciu Bolku II Świdnickim zamek Rogowiec wraz z całym księstwem świdnickim stał się własnością korony czeskiej.

Wtedy stracił znaczenie strategiczne i stał się własnością prywatną. W czasie wojen husyckich zamek opanowali rycerze-rozbójnicy, tak zwani raubritterzy.

W 1420 roku zdobył go Franz von Pogorella a w 1429 roku Wenzel von Schellendorf. Ten ostatni zdobył oba zamki: Rogowiec i Radosno, zamieniając je w prawdziwie

zbójckie gniazda. Dzięki nim Schellendorf i jego potomkowie kontrolowali całą rozległą okolicę i wszystkie pobliskie szlaki komunikacyjne. Dopiero w końcu XV wieku wojska króla Ma-

cieja Korwina zdobyły i zniszczyły oba zamki. Wtedy zginęli też Niklas i Hans von Schellendorf, ujęci w Rogowcu przez królewskiego dowódcę Georga von Steina. Od tego czasu opuszczony, zapomniany zamek pozostaje w ruinie.

Dopiero w XIX wieku zaczęli tu docierać turyści podziwiając wspaniałą panoramę rozciągającą się ze szczytu. Zrujnowane mury otacza wiele legend.

Kilka z nich, dotyczących Rogowca (czyli zamku Hornschloss), podaje Oskar Vogt, nauczyciel pracujący przed wojną w Głuszycy (nazywanej wtedy Wüstegiersdorf).

Tak jak Karkonosze mają Liczrzepę (Rübezahla) lub Karkonosza, tak Hornschloss miał własnego, olbrzymiego skrzata, trolla czy też Krasnoluda (Kobolda), który żył tu już 200 lat przed pojawieniem się tamtych. Ten troll lubił bawić się wielkimi głazami, które czasem układał z nadludzką siłą, tworząc różne dziwne formy, a czasem, dla zabawy, ciskał je daleko w głąb kraju. Jeśli ktoś z niego kpił, w odwecie robił mu paskudne żarty, ale dobrzy ludzie, zwłaszcza biedne pary małżeńskie, zawsze mogły liczyć na jego pomoc.

A skąd się tam wziął? - oto wyjaśnienie.

W dawnych latach, kiedy potężny pan Nikolaus von Bolze (Mikołaj z Bolczowa), w wyniku zacieklej, sąsiedzkiej waśni wyruszył na wyprawę przeciwko panu na wałbrzyskim zamku Neuhaus (Nowy Dwór), na Rogowcu pojawił się młody rycerz z Sobótki (Zobten), aby zabiegać o względy uroczej córki pana Bolcze, Hildegardy. Młoda dama najpierw czarowała go i zwodziła, a potem grzecznie prosiła, zwracając się do serca zalotnika, aby wreszcie odzepił się od niej i zostawił ją w spokoju. Podczas jednej z takich scen zdezorientowany rycerz w czasie spaceru zepchnął ją ze ścieżki i piękna Hildegarda wpadła do leżącej kilkanaście metrów niżej, głębokiej jamy niedźwiedziej (Bärenzwinger).

Za ten występki, w ramach kary wymierzonej przez niebiosy, rycerz został wygnany z zamku i zamieniony w olbrzymiego i nieforemnego Krasnoluda, a uwodzicielka została zamieniona w groźną niedźwiedzicę, którą wywieziono aż do lasów koło Sobótki (Zobten), rozciągających się na zboczach Ślęży. Miała pozostać dziką, podstępą niedźwiedzicą, aż do czasu gdy znajdzie się jakiś bohater, który zabije zwierzę, w które ją zamieniono. Dopiero wtedy będzie też mogła wrócić do swej dawnej postaci. Nie wiadomo, czy długo czekała na swego odkupiciela. Wiadomo natomiast, że gdy Bolcze wrócił do domu i dowiedział się o horrorze, jaki rozegrał się na Rogowcu, nie mógł już dłużej żyć w tym zamku. Oddał cały swój majątek krewnym i udał się do klasztoru. Na miejscu, w górach otaczających zamek, pozostał pokutujący za swą winę nieszczęsny Krasnolud.

Ale to jeszcze nie koniec tej niesamowitej historii.

Wenzel von Zedlitz, późniejszy władca zamku Hornschloss (czyli Rogowca), zgubił kiedyś w czasie śnieżycy drogę i błąkał się samotnie po lesie. Między skałami pod Jeleńcem napotkał jakąś dziwną, zgarbioną i zdeformowaną osobę owiniętą w skóry. Osobnik ten chwycił wystraszonego konia za uzdę i zaprowadził zbłąkanego do jego zamku. Tam przyjacielski przewodnik przedstawił się jako zaklęty Krasnolud i gorąco poprosił rycerza, aby złamał ciążące na nim zaklęcie, zabijając niedźwiedzicę żyjącą na Sobótkce, czyli na Ślęży. Wkrótce nadarzyła się ku temu okazja, gdy Albert von Eberstein, pan na zamku w Sobótkce Górce, zaprosił von Zedlitz na polowanie. To Wenzel von Zedlitz wytropił niedźwiedzicę i zabił tę przerażającą, drapieżną bestię. W ten sposób uwolnił z zaklęcia nie tylko Krasnoluda lecz także zaczarowaną dziewczicę. Panna wcale się nie zestarzała i von Zedlitz, oczarowany jej urodą, przywiózł ją do domu jako swoją żonę. Od tego czasu nikt już więcej nie słyszał o Krasnoludzie z Rogowca.

Ale zanim to się stało, we wsi Grzmiąca (Donnerau) żył pewien skąpy rolnik, którego córka bardzo pokochała dobrego, ale biednego wiejskiego golibrodę i uzdrowiciela. Tymczasem skąpy ojciec koniecznie chciał ją wydać za starego, ale bogatego gospodarza. Pewnego późnego wieczora ten beznadziejnie ubogi kochanek został wezwany na zamek Rogowiec, aby ogolić brodę rycerzowi, władcy tego zamku. Po drodze napotkał zakapturzonego, ponoć specjalnie wysłanego, garbatego posłańca, który poprowadził go dziwnymi, zupełnie nieznanymi ścieżkami do zamku, który też miał jakiś całkiem odmienny wygląd. W starożytnej, łukowo sklepionej sali garbaty sługa zostawił dzielnego uzdrowiciela samego, kładąc mu czekać na dalsze rozkazy. Pośrodku sali stała i wabiła cyrulika jasnym światłem straszna pokusa. Była to otwarta skrzynia wypełniona po brzegi kawałkami złota! Dla biednego golibrody była to bardzo ciężka próba. Pomyślał ze smutkiem, że gdyby zabrał choć okruszek z tego niezmiernego dobra, mógłby już nie być tak biednym. Ale oparł się wszelkim pokusom, nie tknął cudzego dobra, pozostał uczciwy. Został za to nagrodzony bogatymi darami, kiedy okazało się, że to stary Krasnolud występował pod postacią garbatego przewodnika. Znając jego położenie, chciał sprawdzić też jego uczciwość. Biedny golibroda został przez niego tak hojnie obdarowanym, że mógł już, za zgodą ojca, zabrać i odwiedzić swoją ukochaną do swego domu. Dzięki Krasnoludowi żył z nią później jeszcze długo jako szanowany chirurg we Freiburgu (w Świebodzicach), tworząc wraz z żoną jedno z najszcześliwszych małżeństw...

Jak zapisano w jednej z bardzo dawnych opowieści, zdarzyło się, że nad Rogowcem (Hornburgiem) rozpuętała się potężna burza odcinająca zamek od miejsc położonych w dolinie. Pan zamku, Kunz von Schweinichen pił samotnie w sali rycerskiej. Towarzyszący mu pobożny mnich upominał go nakazując rycerzowi raczej modlić się niż pić. Jednak porywczy władca zamku, szydząc sobie z niego, odpowiedział, że modlitwy zostawia mnichom z Krzeszowa, a sam zrobi to, ale dopiero nad grobem. Kiedy wypowiedział te oburzające słowa, piorun uderzył w niego pośrodku sali tak mocno, że aż roztopił się kufel, który ten trzymał w dłoni. Kufel przyłgnął do jego ręki tak mocno, że trzeba go było zakopać w grobie razem z pijakiem.

Ludzie zawsze lubili opowiadać sobie takie niesłychane historie. Ponoć pokolenie wcześniej książę Bolko II ze Świdnicy trzymał tam w lochu szlachetnie urodzonego rycerza. Wielki rozgłos zyskała jego spektakularna ucieczka. Więzień ten podobno wyciągnął zębami gwóźdź z desek podłogi a następnie zdołał nim poluzować kraty więziennego okna, dzięki czemu mógł bezpiecznie uciec z zamku.

W czasie najazdów husyckich panem na zamku Rogowiec był Nickel Bolze (Mikołaj Bolcze). Rodzina Bolcze była znaczącym rodem, reprezentowanym przez wiele wybitnych osobowości w XIV i XV wieku. Spośród nich na pierwszy plan wysuwa się właśnie Mikołaj Bolcze, burgrabia zamku Rogowiec i dworzanin księżnej Agnieszki Świdnickiej. Po jej śmierci, w roku 1392 ostatecznie, niezależne księstwo śląskie przeszło pod panowanie czeskie. Konrad, syn Nickela Bolze, był zaręczony z przybraną siostrą, również o imieniu Agnieszka. Kiedy w Czechach rozpoczęły się wojny husyckie, niepokoje szybko dotarły także na Śląsk. Gdy do zamku zbliżyły się hordy czeskich husytów, Nickel Bolze i jego syn Konrad wyruszyli przeciwko nim. Na miejscu pozostawili giermka, nazywanego „Czarnym Rogiem”, który pod ich nieobecność miał tam pozostać jako zarządca zamku. Ten uznał jednak, że pozostawiono go w zamku samego na zgubę, poczuł się porzuconym i opuszczonym, poprzysiągł rycerzom zemstę, opuścił zamek i zniknął bez śladu gdzieś w gęstych, okolicznych lasach.

Tymczasem, po nieudanej wyprawie Bolczów, po śmierci ojca, rycerz Konrad wrócił do swego zamku. Husyci się wycofali, sytuacja się uspokoiła i Konrad poprowadził do ołtarza swoją narzeczoną. Jednak jego szczęście nie trwało długo, gdyż husyci wkrótce powrócili, w dodatku ze znacznie silniejszymi siłami, więc rycerz rzucił się konno do Świdnicy po posiłki. Korzystając z okazji niewierny „Czarny Róg” powrócił jak zły duch i włamał się do zamku, aby go obrabować. Zabił młodą panią, która zaskoczyła go na gorącym uczynku. Ból męża po powrocie do domu był ogromny. Kiedy jeszcze stał w niemym smutku przed zwłokami zmarłej żony, usłyszał hałasy i zobaczył rabusia, Czarnego Roga, który nie wiedząc o powrocie Konrada przybył by zabrać kolejną skrzynię z zamkowymi skarbami. Oszałały z bólu Konrad Bolze z rozmachem ciął mieczem i powalił go na miejscu. Nie chciał jednak zostawać dłużej w Rogowcu (Hornburgu), osiedlił się w Świdnicy i tam dopiero po wielu latach, po zagojeniu się rany w sercu po stracie drogiej Agnieszki, ożenił się ponownie z piękną córką świdnickiego burmistrza.

ZAMEK GRODNO

Jednym z piękniejszych zamków w okolicy Wałbrzycha jest niewątpliwie zamek Grodno w Zagórzcu Śląskim (dawniej nazywany Kynsburgiem). Zawsze stanowił i nadal stanowi prawdziwą perłę, znakomitą ozdobę otaczającego go krajobrazu. Przyczynia się do tego piękne położenie i otaczająca go naturalna przyroda.



Zamek zachował się do naszych czasów dzięki staraniom śląskiego archeologa Johanna Gustava Büschinga, który w 1823 roku nabył zrujnowany, średniowieczny zamek Kynsburg, uratował go przed planowaną rozbiórką, przeprowadził remont oraz otworzył zamek dla turystów.

Ten nieco zapomniany dziś człowiek przeprowadził też restaurację zamku Cisy. Choćby z tych względów warto przypomnieć tę ciekawą postać.

Johann Gustav Gottlieb Büsching urodził się w 1783 roku w Berlinie a zmarł w 1829 roku we Wrocławiu. Był historykiem literatury i sztuki, archeologiem i etnografem, profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. To on był założycielem pierwszego, publicznie dostępnego muzeum we Wrocławiu. Po sekularyzacji, czyli kasacji zakonów katolickich w Prusach, ogłoszonej w 1810 roku, był inicjatorem stworzenia we Wrocławiu centralnej biblioteki i archiwum gromadzącego poklasztorne zbiory biblioteczne. W związku z tym celowo przeprowadził się do Wrocławia i objął tam posadę komisarza do spraw księgozbiorów przy komisji sekularyzacyjnej. W czerwcu 1812 roku został archiwistą biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego, piastując tę funkcję przez dwanaście lat. Jednocześnie zaangażował się też w tworzenie pierwszego we Wrocławiu publicznego muzeum. Prezentowało ono zbiory malarstwa, także inne obiekty sztuki i zabytki archeologiczne. Muzeum ulokowano w budynku zsekularyzowanego klasztoru augustianów na wyspie Piaszek. Büsching został jego pierwszym dyrektorem. Na rzecz działu archeologicznego przekazał też własny zbiór zabytków archeologicznych. To on zainicjował od 1819 roku coroczne wykopaliska archeologiczne na Śląsku, mające na celu uzyskanie nowych eksponatów dla muzeum. Od 1815 roku był wykładowcą Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Prowadził wykłady z różnych zagadnień historii i sztuki głównie średniowiecza, a także z archeologii, etnografii i literatury niemieckiej. Popularyzował i promował wiedzę o sztuce i historii Śląska.



Ale wracajmy na zamek Grodno i do legend z nim związanych. Zanim zamek został własnością profesora Büschinga, już od lat otaczała go jakaś tajemnicza aura, tworzona przez bogatą historię a także liczne, niezwykle i różnorodne legendy związane z jego starymi murami. Nawet czas powstania zamku i jego nazwa są owiane legendami.

To podobno pewien angielski rycerz, który musiał uciekać z ojczyzny, gdzieś około 800 roku zbudował pierwszą, kwadratową wieżę strażniczą na górze Chojna (lub Choina), wznoszącej się w Górach Wałbrzyskich wysoko ponad doliną Zagórza Śląskiego (Schlesiertal). Wzniesienie to, będące dzisiaj rezerwatem przyrody, góruje nad wijącą się w dole rzeką Bystrzycą (Weistritz).

W tym samym miejscu książę Bolesław (Bolko I) zbudował w 1198 roku silny zamek jako ochronę swej granicy przed Czechami. Nazwa zamku pochodzi ponoć od sosen, które niegdyś porastały wzgórze zamkowe - po niemiecku sosna nazywa się Kienbaum. Pojawia się też nazwa Königsburg (Królewski zamek), której używano kilkakrotnie, ale musiała ustąpić bardziej popularnej nazwie Kynsburg. Dopiero po drugiej wojnie światowej zamek nazwano Grodnem.

Wspomniano już, że z Kynsburga do Freudenburga (czyli z Grodna do Radosna) prowadziło ponoć tajemne, podziemne przejście. Dwie inne tajemne drogi prowadziły z piwnic zamkowych na zewnątrz, zbudowane celowo dla umożliwienia zdobywania żywności w przypadku oblężenia, lub w ostateczności dla umożliwienia ucieczki.

Bardzo tajemnicze są okoliczności upadku Grodna. Według jednej z legend do zniszczenia Kynsburga przyczynił się rycerz, który nie uhonorował starożytnej czaszki przechowywanej w zamkowym lochu-zbrojowni, choć jak głosiła znana, dawna przepowiednia, to od niej właśnie zależały losy twierdzy, jej dobrobyt i niedola. Rycerz nie wierzył w tę przepowiednię i postanowił sprawdzić, czy to prawda, czy też zwykłe bajki. Aby się o tym przekonać wyrzucił czaszkę do urwiska otaczającego zamek. Wkrótce nadeszła okropna burza z piorunami, która zniszczyła siedzibę niedowiarka ...

Na dziedzińcu zamkowym znajduje się bardzo głęboka studnia. Legenda mówi, że ta głęboka studnia zawdzięcza swoje istnienie młodemu Turkowi, którego władca zamku przywiózł jako swego jeńca z wypraw krzyżowych. Zniewolony syn Orientu ogromnie tęsknił za swoją słoneczną ojczyzną. Obiecano mu zwrócić wolność, ale dopiero wówczas, gdy wykopie taką studnię, która dotrze do źródła wody. Bez wody zamek nie mógł zbyt długo bronić się przed oblężeniem i tylko taka studnia dałaby mu nowe życie. Młody człowiek drążył więc uparcie studnię przez szereg lat, wciąż mając nadzieję, że dotrze do wody. Po wielu latach takiej ciężkiej pracy w końcu na dnie studni pojawiła się woda. Mając już siwe włosy został nagrodzony wolnością i mógł wreszcie wrócić do ojczyzny...

Znana jest też legenda o niewiernym giermku, która swą treścią przypomina balladę dziewiętnastowiecznego, niemieckiego poety Johanna Ludwiga Uhlanda, o słudze, który zgładził szlachcica, swego pana.

W tym przypadku znowu opowiada się o zdarzeniu w czasie wojen husyckich. Na zamku Kynsburg mieszkali wtedy rycerze-rabusie, zwani raubritterami, czyli po prostu zwykli zbójnicy napadający na karawany kupieckie. Podczas jednego z najazdów husyckich, kiedy rycerze wyruszyli aby stanąć im naprzeciw, nieoczekiwanie wpadli w zasadzkę zorganizowaną przez husytów. Prawie wszyscy rycerze-rabusie, z wyjątkiem jednego, zginęli w tej walce. Ten jeden, ocalały raubritter, wraz ze swym giermkim rzucił się pędem w stronę zamku, aby przed nadejściem husytów ukryć wszystkie skradzione wcześniej skarby. Kiedy jechał konno wąską ścieżką wijącą się wzdłuż ryczącej rzeki Bystrzycy (Weistritz), jego niewierny giermek zepchnął go gwałtownie w dół urwiska, chcąc pojąć wszystkie bezprawnie zdobyte dobra dla siebie. Ale kara nastąpiła natychmiast: koń giermka również stanął dęba i zrzucił swojego jeźdźcę na skalistą skarpe, a stamtąd do wezbranej rzeki. Jeszcze długo po tym zdarzeniu samotnych wędrowców wspinających się wąską ścieżką, biegnącą stromym zboczem nad rwącą Bystrzycą, straszyl tam niespokojny duch mordercy, który ich także chciał zrzucić do rzeki...

Wszyscy Wałbrzyskanie znają opowieści o „Białej damie” z Grodna. Jest ich kilka. Przypomnijmy niektóre z tych opowieści.

Pewnego razu w czasie jakiejś swej podróży Albert von Falkenberg wraz z żoną odwiedzili Grodno. Kuzyn Alberta, Willibald von Kynau pan na zamku Grodno, ze zwykłej, ludzkiej chciwości zazdrościł mu jego bogactwa. Nieszczęsny podróżny został zamordowany przez tego zazdrosnego człowieka, chcącego przejąć jego włości. Żonę Alberta wtrącono do lochu, gdzie umarła z głodu. Po śmierci oczywiście straszyla zbrodniarza i bardzo często pojawiała się w zamku jako „Biała dama”.

Dzieci Alberta von Falkenberg i jego żony, czyli „Białej damy” z Kynsburga (Grodna), chłopiec i dziewczynka, zostały przewiezione przez dziedzica do Wrocławia. Syn zginął potem w czasie wyprawy krzyżowej w jakimś wschodnim kraju, a córkę oddano na wychowanie krewnym zamieszkałym w Górach Sowich (Falkenberg to dzisiejszy Sokolec).

Tam, po kilkunastu latach, zobaczył ją wnuk zabójcy jej ojca i natychmiast szczerze pokochał. Dopiero wtedy młody człowiek dowiedział się także o nieczym postępkach swego dziadka. Udało mu się uwolnić ukochaną z rąk przetrzymujących ją opiekunów i za obopólną zgodą została jego żoną. W taki sposób zbrodnia dziadka została przynajmniej częściowo odpokutowana przez wnuka...

Według innej wersji ta zjawia pojawiająca się na murach zamku Grodno, to żona pogańskiego właściciela zamku, który nie tylko nie chciał przejść na chrześcijaństwo, ale nawet zamordował mnicha, który przybył tam jako posłaniec wiary. Mnich ten, leżąc już na łożu śmierci prorokował, że żona zatwardziałego poganina, która bardzo cierpiała z powodu uporu męża, wkrótce umrze i nawet w grobie nie znajdzie spokoju. Jak to ma zwykle miejsce w tego typu opowieściach, potężna burza dokończyła dzieła niszcząc dumny zamek aż do jego fundamentów. Powtarza się tu motyw zniszczenia zamku Grodno przez burzę z piorunami.

Wreszcie mówi się również, że „Biała dama” to nikt inny, tylko żona jednego z pierwszych właścicieli zamku, która z żalu i przerażenia po zamordowaniu swojego męża, nocą, przy świetle księżyca w pełni, rzuciła się w głąb zamkowej studni. I od tego czasu ilekroć nad zamkiem zaśni poświata księżyca znajdującego się w pełni, biała postać musi za karę krążyć po zamkowych murach...

Istnieje jeszcze kilka innych legend dotyczących pojawiania się „Białej damy”; niektóre z nich zostały nawet zapisane w formie wierszowanej. W skrócie mówi się w nich co następuje:

Dawno, dawno temu, gdy na zamku obchodzono wspaniałe święto, Bernhard von Haugwitz wykradł się spośród biesiadników i zakradł się na dziedziniec w poszukiwaniu pięknej Adelheid von Schaffgotsch. Wtedy niespodziewanie zobaczył białą zjawę, która odwróciła się do niego, po czym rzuciła się do głębokiej studni. Prerażony rycerz zaczął wołać o pomoc, ale w tym samym momencie pojawiła się wśród swych towarzyszy zabaw Adelheid von Schaffgotsch, świeża, żywa i zdrowa. Ogarnięty radością Bernhard von Haugwitz uznał to za znak z niebios, padł do jej stóp i wyznał miłość. Zaskoczeni rodzice, oczywiście, chętnie wyrazili zgodę na związek dwojga kochanków.

W innej wersji opowiada się, że zamkowy strażnik wielokrotnie widział kobietę w bieli wychodzącą z wysokiego zamku, przechodzącą pod kaplicą, skręcającą w prawo i wreszcie znikającą przy zabudowaniach stajni. Inni słudzy zarządcy zamkowego, którzy przed blisko 100 laty mieszkali w stróżówce, również twierdzili, że widzieli to dziwne zjawisko, gdy czerpali wodę ze studni. Ta piękna, biała dama wpłynęła na tragiczne losy młodzieńca mieszkającego niegdyś na zamku. Panicz, po tym, gdy po raz pierwszy zobaczył urzekającą postać tej pięknej dziewczyny, odrzucił względy wszystkich innych, młodych panien. Żadna z nich nie była tak piękna jak ta panna przechadzająca się późną porą po zamkowych murach. Kiedy po bardzo długim oczekiwaniu ponownie mu się ukazała, zachwycony i zauroczony podążył za nią bezwiednie wszędzie, gdziekolwiek się ukazywała, a kiedy zniknęła w studni, bez chwili wahania również się tam za nią rzucił...

W czasie wojen husyckich Czesi poprzysięgli zemstę burgrabiemu z Kynsburga za to, że często zbijał ich z tropu, skutecznie i niespodziewanie atakując ich podczas najazdów na równinę śląską. Kiedy wszystkie próby schwytania pana z Kynsburga zawiodły, uciekli się do podstępny. Naprzeciw Rabensteina (Kruczego Kamienia koło Lubawki) często widywano dziwnego rycerza, którego pojawienie się budziło także ciekawość pana na Kynsburgu. Zatrzymany i zapytany, czego chce i co robi, nieznajomy zaprosił burgrabiego, aby przyszedł i pomógł mu znaleźć wielki skarb ukryty na Kruczej Skale. Ten skądinąd bardzo ostrożny człowiek, wiedziony pazernością, dał się namówić nieznajomemu i wspiął się wraz z nim na Rabenstein, ale tam został otoczony i pokonany przez wrogów, którzy wyskoczyli z zasadki, a jego zamek, pozbawiony obrońcy, wkrótce został zdobyty i splądrowany.

Z ust swojego kasztelana Profesor Büsching usłyszał ciekawą legendę o czarnej kurze ze złotymi pisklętami. Została ona umieszczona w wielu księgach z legendami i podobno została także zredagowana poetycko.

W dawnych czasach, w pokoju starego zamku, nocą widywano kurę, która zawsze wychodziła z pieca stojącego w kącie gościnnego pokoju. Władca zamku nigdy jej nie widział i nie chciał w to wierzyć, ale plotki o czarnej kurze i jej złotych pisklętach były powszechne wśród miejscowych ludzi i przez tych, którym udało się uniknąć spania w komnacie. Pewnego razu rycerz Hermann von Reichenbach, przyjaciel pana zamku, przybył o zmroku do zamku i poprosił o łożo dla siebie, swojego giermka i dwóch koni. Zmęczonemu mężczyźnie nie żałowano życzliwego powitania i gościnności. Pan zamku nakazał udostępnić przyjacielowi pokój gościnny, ten właśnie, który według wierzeń całej służby był siedzibą upiornego, kurzego ducha.

Rycerz i giermek szybko pospieszyli na spoczynek, gdyż następnego dnia chcieli wyruszyć w drogę. Ale już o świcie Hermann von Reichenbach poinformował gospodarzy, że zamierza natychmiast wyjechać. Tylko z trudem udało się go przekonać, aby zaczekał do końca porannego posiłku. Z bladym obliczem i oszołomionym spojrzeniem powitał gospodarzy przy stole. Zauważywszy uderzającą zmianę w wyglądzie swojego gościa, pan zamku zapytał go z niepokojem, czy aż tak źle spał.

„Nie spałem zbyt wiele!”- odpowiedział gość.

„A któż to ośmielił się przeszkadzać Ci w wypoczynku?” - badał dalej gospodarz.

To nie twój żyjący współlokatorzy — odpowiedział Hermann von Reichenbach — ale inna, jakaś duchowa siła. Kiedy wczoraj wieczorem poszedłem do łóżka, wkrótce zasnąłem.

Mogłem spać dobrą godzinę, kiedy nagle się obudziłem.

Lampa wciąż się paliła, a zegar na wieży właśnie wybił jedenastą. Potem usłyszałem jakiś hałas i spojrzałem w stronę pieca, bo wydawało się, że to stamtąd ten dźwięk dochodzi.

Wtedy z pieca wyszła, wraz z kilkoma pisklętami, wielka, czarna, gładka kura. Przeszła z nimi na środek pokoju, gdzie wciąż gdakała i drapała posadzkę, a potem szamotała się i skakała, jakby atakowało ją jakieś zwierzę domowe. Tak trzepotała skrzydłami, że lampa groziła zgaśnięciem. Potem przeszła z pisklętami przez cały pokój a kiedy dotarła do mego łóżka, wzbiła się tak wysoko, że lampa zgasła. Dopiero po chwili, kiedy znowu zatrzepotała skrzydłami, lampa znów się zapaliła. Potem kura uspokoiła się, znów zaczęła dziobać w podłogę, małe pisklęta zebrały się wokół niej, po czym kura wraz z pisklętami zniknęła za piecem, z którego wyszła.

Wątpiąc, czy przypadkiem nie śpię i nie śnię, wstałem, wziąłem lampę i zbadałem to miejsce, ale niczego nie mogłem znaleźć. Nie było tam najmniejszego śladu, nie było ani kurzego gniazda, ani kury, ani piskląt. Mój giermek spał tak mocno, że tylko z trudem mogłem go dobudzić. Nic nie widział i nic nie słyszał.

Ale ja byłem tak przerażony tajemniczym wydarzeniem, że nie mogłem z powrotem zasnąć. Dlatego wcześniej niż chciałem, stoję przed Tobą przygotowany do odjazdu. Baw się dobrze i żegnaj! Zapomnij o głupich wizjach twego gościa!

Rycerz odjechał, ale plotka o tym, co zobaczył w nocy, rozeszła się z ust do ust wśród giermków i służby. Każdy z nich opowiadał o tym, co zaszło i co już wcześniej słyszało się o Czarnej kurze i jej pisklętach.

Opowieści te dotarły także do pana zamku, który postanowił zająć się tą sprawą, tym bardziej, że kapelan zamkowy również był zdania, że warto zbadać, co oznaczają tak dziwne i tajemnicze znaki. Właściciel zamku kazał rozebrać piec.

Pod piecem znaleźli niewielki, lekko opadający korytarz, a kiedy go otworzyli, za zamknięciem odkryli małe pudełko, zawierające szkielety dwójki małych dzieci. Za radą opata klasztoru w Grüssau (w Krzeszowie) szczątki dzieci pochowano w poświęconej ziemi i od tego czasu nigdy już nie widziano w zamkowym pokoju czarnej kury z jej pisklętami.

Nigdy jednak nie ujawniono, czyje to były kości, kto je ukrył pod piecem i jakie straszne przestępstwo tam popełniono.

A ludzie, jak to ludzie, długo jeszcze opowiadali o tym wydarzeniu widząc w tej tajemniczej kurze nieszczęśliwą matkę, a w małych kurkach jej martwe dzieci.

Kolejna legenda związana z Grodnem opowiada o „Trzech starcach”.

Działo się to w czasie wojny siedmioletniej (1756-1763). W czerwcu 1760 roku doszło do bardzo zaciętej i krwawej bitwy pod Kamienną Górą (Landeshut). Pruska propaganda nazwała później tę bitwę „pruskimi Termopilami”. Mimo ciężkich strat z obu stron, zwycięstwo

odnieśli Austriacy. Pruski korpus generała Fouque, broniący miasta, został rozбитo przez wojska austriackie dowodzone przez marszałka Laudona. W lipcu tegoż roku, po kilkutygodniowym oblężeniu i ciężkim bombardowaniu, padła także twierdza w Kłodzku, nazywana „kluczem do Śląska”. Wałbrzych stał się wtedy, na pewien czas, miejscem postoju głównej kwatery generała Laudona. Austriacy zajęli także dolinę Bystrzycy (Weistritz) i jej okoliczne wzgórza.

Do wysokiego i okazałego zamku Kynsburg (Grodno) przybyła kompania oficerów, aby tam urządzić sobie wygodne kwatery. Ówczesny właściciel zamku, Otton von Lieres z Wilkowa pod Świdnicą, uciekł, i na miejscu, w przestronnych izbach pozostał tylko stary naczelnik zamkowy z kilkoma służącymi. Austriacy kazali mu otworzyć wszystkie pomieszczenia w zamku. Kasztelan chętnie zastosował się do życzeń surowych gości. Tylko kilku pokoi nie mógł otworzyć, gdyż od niepamiętnych czasów były zamknięte i nie było już do nich



kluczy.

Oficerowie jednak upierali się przy swej woli i kazali wezwać ślusarza, aby otworzył drzwi do ukrytych komnat łomem albo dorobionymi kluczami. W ten sposób ślusarz szybko i łatwo otworzył kilka pokoi. Ale kiedy majstrował przy zamku wąskich, żelaznych drzwi, nagle same się otworzyły i dzięki temu rzemieślnik mógł wejść do małego, ciemnego pokoju.

Przy stole siedziało tam trzech starców w długich sukniach, z siwymi brodami, które sięgały im do piersi. Na środku stołu leżała otwarta księga. Trzej starcy spojrzeli na wchodzącą osobę strasznymi spojrzeniami, przenikającymi go na wskroś.

Wtedy dreszcz śmierci przeszedł po plecach tego skądinąd odważnego mężczyzny, dochodząc mu aż do szpiku kości. Na początku czuł się sparaliżowany we wszystkich kończynach, ale potem szybko odwrócił się i wybiegł z upiornego pokoju. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Śmiertelnie wystraszony ślusarz biegł i biegł, aż dotarł do domu. Tam poszedł do łóżka i miękło wiele miesięcy, zanim przezwyciężył swój strach i zdołał wrócić na zamek.

Kiedy później kazano mu ponownie otworzyć te drzwi, nie mógł już ich znaleźć; wydawało mu się tylko, że znajdowały się one w tylnej części zamku, od strony zbocza stromo opadającego ku dolinie...

Wspomniany Otto von Lieres przeniósł później swoją rezydencję do bardziej wygodnego dworu położonego w Dittmannsdorf, dużej i bogatej wsi w sąsiedztwie Wałbrzycha (to dzisiejsze Dzieńmorowice). Zabrał tam ze sobą również bogate i niezwykle cenne dokumenty. Niestety, zostały one zniszczone w pożarze, jaki wybuchł w tamtejszych zabudowaniach. Według innej wersji, długo powtarzanej przez miejscową ludność, to krawcy służący w austriackim wojsku i pracujący w zamku Kynsburg, lekceważąc te stare dokumenty pocięli je, aby zrobić z nich wykroje do wojskowych mundurów.

Jak wspomniano powyżej, w 1789 roku Otto von Lieres musiał opuścić zamek Kynsburg. Ponieważ nic nie zrobiono aby naprawić i ufortyfikować stare mury, część zamku się zawaliła. Ale być może to także poszukiwacze skarbów przyspieszyli upadek dumnej twierdzy. Krążyła legenda, że Szwedzi, mieszkający na zamku w czasie wojny trzydziestoletniej, znaleźli w kryjówce urządzonej w zamkowych murach złotego osiołka wypełnionego złotem, którego

ukryli wycofujący się Czesi. Na złotym zwierzęciu widniał ponoć napis: „Złoto jest moim pożywieniem - moja mama jest niedaleko”. Po niemiecku to się ładnie rymuje: „Gold ist mein Futter - nicht weit davon steht meine Mutter”.

Wtedy chciwi, szwedzcy kwatermistrzowie, przy użyciu kilofów z zapalem zaczęli szukać „matki” tego złotego żrebaka, uważając, że ten skarb musiał być znacznie większy i cenniejszy niż pierwsze znalezisko.

Ale ani oni, ani ich następcy nie znaleźli upragnionego skarbu, tylko wytrzymałość i stateczność starych murów została tak zachwiana przez tych złodziei, że zamek był bliski zawalenia.

Zamkowa studnia nazywana „Oślą fontanną” nie ma nic wspólnego z tym złotym osłem, swą nazwę wzięła od zwykłego osła. To cierpliwe, szare zwierzę musiało z tej studni przynosić do zamku wodę pitną, niezbędną do codziennego użytku.

Kiedyś właściciel Kynsburga umieścił w tym czystym źródle dużego pstrąga i za każdym razem, gdy odwiedzał studnię, zachwycał się jego żywotowością. Dlatego bardzo się zirytował, gdy pewnej księżycowej nocy, z zamkowego balkonu zobaczył mężczyznę próbującego coś tam grzebać wokół studni.

Zawołał do niego potężnym głosem: „Niech tylko pstrąg zajęczy, lina będzie twoją nagrodą”. Nieuczciwy człowiek jednak nie posłuchał ostrzeżenia, tylko ukradł pstrąga. Wkrótce został, oczywiście, złapany i zgodnie z przepowiednią wylądował na szubienicy.

O najświetniejszych czasach zamku przypomina saga o chorągwi Logau, która powiewała nad Grodnem w drugiej połowie XVI wieku.

Kiedyś, gdy Hinko von Seidlitz dobrze sobie gospodarzył w Grodnie, znany nam już dziki Róg z Rogowca umyślił porwać piękną Rosę von Logau, która akurat przebywała z wizytą na zamku w Grodnie. Hinko zabił bezczelnych i zuchwałych rabusiów po czym sam zaczął zabiegać o rękę Rosy.

Ale dumna panna unikała go i w końcu zechciała go wysłuchać dopiero wtedy, gdy obiecał wykraść dla niej z kaplicy w Ziembicach (w Münsterbergu) zaginiony niegdyś sztandar rodziny Logau. Sztandar był tam bardzo pilnie strzeżony.

Aby go zdobyć Hinko von Seidlitz zyskał przychylność pięknej szlachcianki, Marii von Glubos, której ojciec strzegł sztandaru Logau. Dzięki temu zyskał dostęp do kaplicy i zdobył upragnioną flagę, ale mimo tego, nie zdobył serca dumnej panny. Rosa von Logau z dumą odrzuciła łup i udała się do klasztoru klarysek we Wrocławiu. Ale pamiętała o jego wyczynie i kiedy urodził się pierwszy syn Hinka von Seidlitz i pięknej Marii von Glubos (która została jego żoną), Rosa von Logau uczyniła go spadkobiercą swojego bogatego majątku.

W 1677 roku zamek objął baron von Eben. Krążą o nim dwie legendy, które do dziś wciąż opowiadane są przybyszom odwiedzającym zamek.

W czasie wojny baron wraz z dwiema córkami bliźniaczkami uciekł do Pragi, gdzie kilku szlachciców rywalizowało o te piękności przybyłe z doliny Bystrzycy (Weistritztales).

Jeden z nich, oficer, w swej bardzo gorliwej grzeczności zapomniał nawet o swoich codziennych, wojskowych obowiązkach i został za to postawiony przed sądem. Groziło mu nawet rozstrzelanie. Na szczęście pojawili się wówczas dwaj mężczyźni ubrani w obce stroje, którzy wrócili właśnie z zagranicznych wojaży.

Przed laty gościli oni w Kynsburgu i byli tam przyjmowani przez barona von Ebena; był to książę z kapitanem jego przybocznej straży. W Pradze szukali brata księcia, zaginionego w młodości latami. Jak to często bywa w legendach, poszukiwaną osobą okazał się nie kto inny, tylko właśnie ten oficer skazany na śmierć. Po ujawnieniu jego tożsamości oczywiście

został natychmiast uwolniony. Efektem tak szczęśliwego zdarzenia było nie tylko zwykłe, ale nawet podwójne małżeństwo, ponieważ sam książę wybrał drugą siostrę bliźniaczkę na swoją żonę.

Cenniejsza i być może nawet historycznie prawdziwa jest historia uratowania Junkera von Ebena przez wiernego psa, uwieczniona na obrazie wiszącym w zamkowej komnacie. Synek pana Georga von Ebena codziennie jeździł konno do szkoły w Schweidnitz (w Świdnicy) w towarzystwie duńskiego doga. Kiedy chłopiec nie wrócił do domu we właściwym czasie, zaniepokojeni mieszkańcy zamku rozpoczęli poszukiwania. Na dobrze znanej ścieżce, nazywanej „Karretenwege” zobaczyli konika trzymanego za wodze przez doga i chłopca wiszącego nad przepaścią. Utrzymał się jeszcze w powietrzu tylko dzięki temu, że jego noga uwięzła i utknęła w strzemieniu. Nieprzytomny Junker został wyciągnięty na ścieżkę, uratowano go z tak niebezpiecznej sytuacji, a wierny pies miał odtąd zapewnioną opiekę do końca swego życia. Do dziś przewodnicy pokazują turystom zwiedzającym zamek olejny obraz, który upamiętnia to wydarzenie.

ZAMEK NOWY DWÓR

Także wałbrzyski zamek Nowy Dwór zbudowany we wczesnym średniowieczu na Górze Zamkowej otaczają ciekawe legendy.



Od Doliny Bystrzycy i zamku Grodno nasze myśli wędrują teraz do porośniętego drzewami liściastymi, pięknie uformowanego wzgórza zamkowego, wznoszącego się naprzeciwko dworca kolejowego Wałbrzych Główny (Dittersbach), gdzie pod baldachimem buków i dębów widoczne są ruiny zamku Neuhaus. Panowie tego zamku zmieniali się rzadziej niż gdzie indziej i w większości należeli do starego rodu Czetrizów, rodu który pochodził z tych terenów, i jest związany z najstarszą historią Wałbrzycha (Waldenburga).

Historia dzisiejszych ruin Nowego Dworu jest tajemnicza, mroczna i niejasna, więc legenda ma tutaj dużo więcej do powiedzenia.

Dawno, dawno temu, podczas polowania na Czarnej Górze (czyli na Borowej), pan z Nowego Dworu zgubił cenny pierścień. Ogłosił wtedy, że ten, kto go znajdzie, zostanie nagrodzony „czarnym złotem”. Być może stąd wzięty się późniejsze, popularne w regionie wałbrzyskim odznaczenia nazywane „Czarnymi diamentami”, którymi jeszcze na początku XX wieku obdarowywano najbardziej pracowitych górników.

Polowania odbywały się nie tylko na Czarnej Górze, lecz także w całej okolicy, gdyż w gęstych, niezamieszkałych lasach występowało wtedy jeszcze wiele dzikich zwierząt.

W czasie jednej z takich wypraw myśliwi trafili w miejsce, gdzie potężna niedźwiedzica miała swój matecznik i pilnowała ukryte tam w gęstwie niedźwiadki. Pan von Neuhaus nierozważnie zamierzał zaatakować niedźwiedzicę i zbyt blisko do niej zbliżył. Broniąca dzieci niedźwiedzica ruszyła na niego tak groźnie, że musiał uciekać za pień grubego drzewa. Wtedy rozpoczęło się polowanie, lecz nie na niedźwiedzicę tylko na myśliwego. Przerażony uciekał przed łapami atakującego go zwierza, ale z powodu wyczerpania był już bliski upadku. Na szczęście został uratowany przez kilku nadbiegających giermków, którzy atakując niedźwiedzicę ze wszystkich stron zdołali ją w końcu odciągnąć od tego potężnego

drzewa i przegonić wraz z jej niedźwiadkami. Obszar, w którym doszło do tego zdarzenia do dziś nazywany jest Niedźwiadkami (Bärengrund).

Jak wielu innych rycerzy, także pan von Neuhaus pociągnął do Ziemi Świętej w czasie popularnych w średniowieczu wypraw krzyżowych. Po wielu latach, kiedy krzyżowiec wciąż nie wracał do domu i nie dawał żadnych widomych znaków życia, żona i dzieci uznały, że musiał zginąć w czasie tej wyprawy.

Kiedy do tego jeszcze giermek powracający z wyprawy potwierdził bohaterską śmierć jej męża, piękna dama, pani na zamku Neuhaus, uległa zalotom Hugo von Gleichena i zgodziła się go poślubić. Lecz w przeddzień ślubu, w czasie wesołej uczty, pojawił się zakapturzony pielgrzym i niepostrzeżenie wsunął do kielicha panny młodej pierścionek. Ta natychmiast rozpoznała pierścień, który był identyczny jak ten, który na odjeźdźnym otrzymała od męża. Nieznajomy zrzucił przebranie i ujawnił się jako pan zamku, przez szereg lat wracający pieczo i konno przez całą Europę do domu, nie wiedząc o tym, że tam uważany był już za zmarłego.

Zamiast ślubu urządzono wielki sąsiedzki zjazd i radośnie świętowano powrót pana na zamku Neuhaus. Hugo von Gleichen też się ożenił - jednak nie z matką a z piękną córką pana von Neuhaus. (Fakt, że jeden z bohaterów tej legendy jest rycerzem z Gleichen, wskazuje na turyńskie pochodzenie tej legendy. Tam opowiada się o tym, że hrabia von Gleichen wrócił z wyprawy krzyżowej do domu z poślubioną Saracenką, choć na zamku nadal mieszkała jego pierwsza żona).

Przez szereg długich lat właścicielami zamku Neuhaus był ród Czettritzów. O tym, w jaki sposób rodzina von Czettritz weszła w posiadanie zamku, legenda opowiada w następujący sposób.

Sebastian Ulrich von Czettritz był koniuszym króla Czech i Węgier, Ludwika II Jagiellończyka, który zginął na bagnach podczas niefortunnej bitwy pod Mohaczem w 1526 roku. Ale wierny koniuszy, z wielkim uszanowaniem zajął się zwłokami i przywiózł je do domu, do Pragi, za co w nagrodę otrzymał na własność zajmowany już wcześniej przez niego zamek Neuhaus, wraz ze wszystkimi przynależnymi do niego ziemiami.

Wiele razy mieszkańcy zamku byli zagrożeni i oblegani przez wrogów. W 1442 roku książę Münsterbergu (książę ziębiicki) i biskup wrocławski na próżno stanęli przed zamkiem próbując wziąć go głodem. Nie wiedzieli, że oblężeni tajemnym przejściem nieustannie otrzymywali nowe zaopatrzenie. Oblężający nie słyszeli charakterystycznego stuku końskich kopyt, ponieważ ludzie dostarczający zaopatrzenie do zamku przebiegle stosowali stary sposób, polegający na przybiciu skórzanych osłon do końskich kopyt. Jednak kiedy oblężający dowiedzieli się o tych sztuczках, opór zamku szybko dobiegł końca.

Innym razem, gdy Nowy Dwór znowu znalazł się w trudnej sytuacji, zdarzyło się, że nastpniczy pozwolili wyjść z zamku tylko pani zamku z towarzyszącymi jej kilkoma damami. Do tego pani ta mogła zabrać ze sobą tylko taki dobytek, jaki mieścił się w korycie do piczenia. Odważna kobieta ułożyła w korycie męża, okryła go swoimi ubraniami i w ten sposób, z pomocą dwórek, wyniosła go z zamku ratując mu życie i wolność.

Podczas oblężenia zamku o przeżyciu obleganych decydował głównie dostęp do pitnej wody. Nowy Dwór był w bardzo dobrej sytuacji, ponieważ do zamkowej studni napływała



woda prowadzona do niej drewnianymi, podziemnymi rurami wprost ze źródła, które biło na Czarnej Górze (na Borowej).

Dlatego długo wytrzymywano nawet uparte oblężenia. Trwało tak do czasu, gdy pewna biedna wdowa, należąca do zamkowej służby, zdradziła tajemnicę wrogom za wysoką opłatą. Gdy niespodziewanie zamkowa studnia wyschła, słusznie podejrzewano zdradę i przeprowadzono surowe śledztwo. Kiedy ustalono sprawczynię tego nieszczęścia, wymierzono jej straszliwą karę. Zdrajczynię stoczono z Góry Zamkowej w beczce nabitej gwoździami.

Oczywiście, tak jak w każdym zamku, także w ruinach Nowego Dworu ukryte są skarby. W czasie wojny trzydziestoletniej na zamku zasiadali Gottfried i Heinrich von Czettritz, którzy handlowali z rycerzami rabusiami a i sami ponoć z powodzeniem uprawiali zbójcki fach. Z tego powodu musiały zdarzać się częste zatargi z poszkodowanymi sąsiadami.

Pewnego razu, gdy zamek został ponownie oblężony, widząc że tym razem na pewno zostaną pokonani przez swych wrogów, zdecydowali się zakopać skarby, które przez lata zrabowali na drogach. Umieścili je w dużej, żelaznej skrzyni a klucz do niej schowali w sobie tylko znanym miejscu. W nocy poprzedzającej nieunikniony atak wrogów, na powierzchni wielkiego głazu stojącego z boku bramy dziedzińca, wyryli wyraźny kształt klucza wraz z łacińskimi literami HGS, które miały być szyfrem do odnalezienia skrzyni.

Dzisiaj trudno ten głaz odnaleźć, ale ponoć starsi ludzie widzieli zarówno kamień, jak i ten dziwny napis. Legenda głosi, że ten kto znajdzie głaz i zinterpretuje te trzy litery, z łatwością odnajdzie pasujący klucz, uzyska dostęp do skrzyni i będzie mógł ją otworzyć.

Ta saga w naturalny sposób zachęcała do poszukiwań wielu mieszkańców osiadłych w okolicy Nowego Dworu, jednak jakoś nie mieli szczęścia i mimo wielu podejmowanych prób, dotąd nie udało się odnaleźć i wydobyć skarbu.

Pewien stolarz z Dittersbach (z Podgórze) nazwiskiem Gründel, też chciał się szybko i łatwo wzbogacić. Dlatego wciąż rozmyślał o wielkich skarbach zamku Neuhaus i nawet śnił już o tym, co zrobi z tymi bogactwami. Pewnego razu, gdy znów tak intensywnie śnił o trzech tajemniczych literach i kluczu, zjawiała mu się we śnie jakaś cudowna postać, która skinęła na niego zapraszając by poszedł za nią. Gründel, bez woli, natychmiast podążył za swoim przewodnikiem przemykając przez cichą, uśpioną wioskę na wzgórze zamkowe. Kiedy weszli na dziedziniec zamkowy, ich oczom ukazał się zaskakujący, niesamowity widok: tysiące gnomów i goblinów tańczyły dziwaczny taniec w srebrnym blasku księżyca. Ten widok, być może dla niektórych cudowny, napełnił Gründela tak wielkim przerażeniem i drżeniem, że tak szybko, jak tylko mógł, nie oglądając się na nic, jak oszalały uciekał z góry do swojego domu.

Kiedy wreszcie ochłonął, zaczął wyrzucać sobie, że tak głupio zmarnował swoje szczęście. Dlatego nieco później, już samotnie, wspiał się nocą na zamek po raz drugi. Lecz zamkowy dziedziniec pogrążony był w głębokich ciemnościach i ciszy. Na próżno wypatrywał goblinów, lub choćby tego cudownego elfa którego widział poprzednio. Nic. Tylko nocne sowy pohukiwały od czasu do czasu i słuchać było jakieś nierozpoznawalne krzyki nocnych stworzeń. Zawiedziony, wystraszony niepewnie stąpał po nierównościach, pośliznął się, spadł z murów i złamał kark.

Skarby w ruinach Nowego Dworu zwabiły także mieszkańca Reimswaldau (Rybnicy Leśnej), biednego i kalekiego Krausego, który w noc sylwestrową z 1825 na 1826 rok wybrał się samotnie na zamek, by z pomocą dobrych duchów i zaklęć odnaleźć tam upragnione skarby. Po przybyciu na dziedziniec umieścił wokół siebie płonące światła, modlił się i wygłaszał specjalne zaklęcia, uważnie wypatrując, czy nie pojawią się małe niebieskie płomienie, które, jak sądził, powinny po tych czarach wybuchnąć z ziemi w miejscu zakopanego skarbu. Ale rozpalone przez niego światła, płonące na zamkowych murach, zwabiły tylko okolicznych mieszkańców, którzy dotarli na miejsce w momencie, gdy jego zaklęcie było w pełnym rozkwicie. Ciekawscy ludzie przeszkadzili nawiedzonemu magowi w jego czynnościach. Byli to mieszkańcy pobliskiego Podgórze (Dittersbachu), którzy obawiając się o swoje domostwa, chcieli przede wszystkim zapobiec pożarowi lasu.

LEGENDY O GÓRACH SOWICH

Ciekawe legendy opowiadano także o Górach Sowich.

Sędzimirz jest niewielką osadą wchodzącą obecnie w skład Walimia. Leży w dolinie Walimki, potoku w Górach Sowich, pomiędzy centrum Walimia a Jugowicami. Osada powstała w końcu XVII lub na początku XVIII wieku jako kolonia Jugowic.

Przed II wojną światową osada nosiła nazwę Neugericht. Legenda głosi, że niegdyś miejscowość ta znana była z tego, że nie można tam było spotkać żadnego wróbla. Jeżeli nawet trafił się tam jakiś wróbelek, to z pewnością był to zabłąkany ptak, który trafił tam przypadkiem. Podobno brak tych ptaków był karą za występki popełnione kiedyś przeciwko tamtejszemu światu zwierząt.

Historię tę, spisaną w 1870 roku opowiedział pewien miejscowy farmaceuta z Walimia (Wüstewaltersdorf) nazwiskiem Sonntag. Sprawa ta była dla niego tak interesująca, że postanowił sprawdzić, czy tak jest istotnie. I rzeczywiście, mimo, że dla tego ptactwa było w Sędzimirzu dość jedzenia na ulicy, przed stodołami i karczmą, nie zobaczył tam ani jednego wróbla. Jednocześnie w bezpośrednim sąsiedztwie tej osady wróble występują bardzo licznie. Tamtejszy nauczyciel zauważył nawet, że kiedy wróbel, przypadkiem zabłąka się do tej osady, szybko zawraca z piskiem.

Prawdziwa przyczyna nieobecności wróbli w Neugericht nigdy nie została wyjaśniona. Farmaceuta Sonntag przedstawił takie legendarne wyjaśnienie tej dziwnej ucieczki wróbli: Przed 150 laty, albo jeszcze wcześniej, bogata rodzina z Sędzimirza pozwoliła dużej gromadzie Cyganów odprawić na swoich ziemiach ich świąteczne tańce, śpiewy i najrozmaitsze obrzędy, związane z tygodniem dobroczynności. Na odchodnym stara, cygańska matrona, chcąc udowodnić, że Cyganie też mogą spełniać dobre uczynki, spytała gospodarzy, co Cyganie mogliby podarować tak życzliwym gospodarzom na miłą pamiątkę. Ponieważ wioskę nękały niezliczone chmary wróbli, niszczących ich zboża na polach i w stodołach, gospodarze poprosili, aby za pomocą zaklęcia Stara Cyganka uwolniła wioskę od tych ptaków. No i stało się, wróble zniknęły z wioski”. Nie wiadomo tylko, jak długo to zaklęcie działało, ponieważ dzisiaj wróble już nie omijają Sędzimirza.

W Walimiu mieszkał kiedyś pewien parobek, który chełpił się, że nikogo się nie boi, nawet legendarnego Nocnego Łowcy, który mieszkał w gdzieś wśród Gór Sowich, i którego gniewu bali się wszyscy okoliczni mieszkańcy. Ten chełpliwy sługa ogłosił nawet, że odważy się spać na polanie w głębi lasu, pod wyrwanymi krzewami, gdzie najwyraźniej Nocny Łowca przygotowywał sobie legowisko.

Na próżno ostrzegali go inni parobkowie. Kiedy jego gospodarz usłyszał te przechwałki, dał mu nawet konia, aby mógł szybciej dotrzeć do tego upiornego miejsca. Jechał już dłuższy czas i jeszcze przy ostatnim polu kukurydzy zaczął bluźnierczo przeklinać. Nagle tuż obok niego pojawiła się stara kobieta, za którą biegło stado kolorowych psów: czerwonych, niebieskich, żółtych i zielonych. Jak się łatwo domyślić był to Nocny Łowca, który w postaci starej kobiety próbował jeszcze odwieść go od tych niecznych zamiarów. Staruszka ostrzegła go, że wkrótce dojdzie do wyrwanych przez Nocnego Łowcę krzewów i żeby się tam nie zbliżał. Parobek w odpowiedzi tylko zaśmiał się brzydko i przeklął paskudnie Nocnego Łowcę. Wtedy stara kobieta spojrzała na niego palącym wzrokiem, po czym niesamowicie donośnym głosem przemówiła władczo: „Zsiadaj parobku! Śmiałeś się z nocnego myśliwego, więc spodziewaj się strasznej kary!” Stara kobieta zniknęła, natomiast z zarośli wyczołgał się długi, rozciągnięty wąż i skierował się prosto na samochwałę. Ten odskoczył w bok i tylko ogon węża prześliznął się tuż obok jego nóg. Prerażony wskoczył na konia i popędził do domu tak szybko, jak tylko zdołał. Nie uciekł jednak przed karą - następnego ranka leżał martwy w swoim łóżku.

Niejeden samotny wędrowiec przemierzający nocą Góry Sowie słyszał ponoć, jak niewidoczny Nocny Łowca okropnym głosem zadawał różne, dziwne pytania. Może to prawda a może tylko efekt wiatru, nocnych odgłosów lasu i strachu wędrowców. Nie wszyscy w to wierzyli. Można nie wierzyć ale nie należy drwić.

Kiedyś pewien bardzo bogaty i zaradkujący rolnik z okolic Nowej Rudy (Neurode), chcąc być dowcipnym i sprytnym, zawołał przez otwarte okno do przechodzącego tamtędy o zmroku Nocnego Łowcy: „Włóczęgo, czy mógłbyś się ze mną czymś podzielić?”

Nie musiał długo czekać. O północy wpadła kominem, wprost na jego piec, ćwiartka ludzkiego ciała. Prerażony rolnik zakopał ten okropny prezent, ale następnej nocy znowu podobny prezent wpadł mu przez komin do kuchni i rankiem znowu musiał go zakopać.

Kiedy nadeszła kolejna noc, to samo zdarzyło się po raz trzeci. Przestraszony rolnik udał się do miejscowego kapelana. Ten radził mu zachować spokój i poczekać na ostatnią, czwartą część tego ciała. Kiedy doszło do tego po raz czwarty, wspólnie pochowali ostatnią ćwiartkę ciała. Kapelan poświęcił ziemię w miejscu pochówku i dopiero wtedy rolnik odzyskał spokój.

Na szczycie Wielkiej Sowy miał swój grób szwedzki generał, który zginął tam w czasie wojny trzydziestoletniej. Jednak dopiero od niedawna dusza tego generała może cieszyć się upragnionym spokojem. Wcześniej, z powodu popełnionych zbrodni musiał błąkać się po górach, wędrując tak przez dwieście lat. Nigdy nikomu nie zrobił nic dobrego ani złego, ale



wszyscy bali się wysokiego, bladego generała, ukazującego się w mundurze przetykanym złotą nicią i wysadzanych złotymi ćwiekami. Także kołnierzyk jego płaszcza był haftowany złotem a epolety, guziki i miecz były ze szczerzego złota. Tylko jego buty były nietypowe - były dwójakiego rodzaju, co miało bardzo duże znaczenie dla ludzi, którzy go spotykali.

Kiedy miał na sobie czarne, skórzane buty, był w dobrym humorze i nie zwracał uwagi na przechodniów, bez względu na to, jak bardzo gwizdali i krzyczeli. Ale kiedy założył buty ze szkła, był w złym humorze i wędrowcy powinni byli się go wystrzegać.

Pewnego razu rolnik handlujący jajami, wędrujący z Sokolca (Falkenberg) do Rzeczek (Dorfbach) spotkał na swej drodze generała

w szklanych butach. Bardzo nierozsądnie zachciało mu się spleść figla dziwnie ubranemu oficerowi. Podniósł z ziemi kamień i wycelował w szklane buty, zamierzając je rozbić. Stary generał jednak odrzucił nogą kamień z taką siłą, że ten wpadł do koszyka z jajami i przewrócił mężczyznę wraz z jego ładunkiem. Kiedy złośliwy handlarz z trudem podniósł się z ziemi, zobaczył, że wszystkie jajka są rozbite, a generał w swych szklanych butach stoi pewnie i dumnie na szczycie Wielkiej Sowy. Ci, którzy zostali w podobny sposób ukarani, nigdy więcej nie mieli ochoty drażnić szwedzkiego generała. Tylko dzięki staraniom i wstawiennictwu pobożnych pielgrzymów przebywających w tych okolicach, w połowie XIX wieku generałowi zostały w końcu odpuszczone stare winy, i teraz spoczywa w swoim poświęconym grobie, w wiecznym śnie. Ale plotka o jego złotym mundurze i zbroi sprawiła, że górnicy z Waldenburga zakłócili mu tę ciszę. Szybko odnaleźli grób i już zaczęli go rozkopywać, kiedy nagle wśród straszliwego grzmotu stary generał wyłonił się z grobu z wyciągniętym mieczem. Wtedy przerażeni poszukiwacze porzucili narzędzia i co sił w nogach uciekli z tego miejsca. Od tego czasu nikt nie odważył się już zakłócić zasłużonego, śmiertelnego snu starego wojaka bohatera a jego grób zginął z czasem w zaroślach pośród gęstego lasu.

LEGENDA O POWSTANIU UZDROWISKA SZCZAWNIO-ZDRÓJ

Nie sposób zapomnieć o leżącym tuż obok Wałbrzycha Szczawnie-Zdroju. O powstaniu uzdrowiska opowiada następująca legenda: Ubogi tkacz ze Szczawnia-Zdroju (Salzbrunn) ledwo mógł wykarmić swoją liczną rodzinę. Ale był człowiekiem pracowitym, oszczędnym i zadowolonym z życia, gdyż miał mały dom wolny od długów, dobrą żonę i dobrze wychowane, grzeczne dzieci. To jego zadowolenie zostało jednak wystawione na ciężką próbę. Zachorował. Coś złego stało się z jego stopami i żadne lekarstwa nie mogły przywrócić im zdrowia. Kochająca żona, dobra gospodyni, opiekowała się chorym mężem z ofiarną miłością, lecz wszystkie jej wysiłki szły na marne: choroba tylko się pogłębiała. Rodzice i dzieci kładli się wieczorami do łóżek bardzo zasmuceni i tak samo pogrążeni w milczeniu i smutku wstawali rano. Działo się tak przez kilka lat. Mały dom został mocno zadłużony, rodzina całkowicie zubożała, w końcu nieczuli wierzyciele zapowiedzieli, że będą musieli opuścić zadłużony dom. Był wielki smutek i płacz dzieci. Coraz trudniej przychodziło tkaczowi pocieszać żonę i dzieci. Mimo tych przeciwności chory tkacz zachowywał niezmacony spokój i cierpliwość. Nie czuł się winnym, przecież nie uczynił nic takiego, co zasługiwałoby na tak surową karę. Martwił się co prawda tymi kłopotami, lecz jego wiara w poprawę losu była bardzo silna, wręcz niezachwiana. Ponieważ jego ufność w lepszą przyszłość była niepodważalna i bojaźń była mu obca, więc rozpacz nie mogła nim zawładnąć. Nawet wtedy, gdy zbliżał się termin opuszczenia ich małego domku, w którym tak długo żyli zadowoleni i szczęśliwi. I wreszcie nastąpiła cudowna zmiana. Pewnego ranka on, który od tygodni nie miał jednego spokojnego, pokrzepiającego snu, leżał sobie w łóżku cicho i spokojnie jak niemowlę, a na jego ustach błąkał się wesoły uśmiech. A to dlatego, że w nocy miał dziwny sen. Zaraz po przebudzeniu opowiedział żonie o tym, co zobaczył i usłyszał w tym cudownym śnie: „Słońce miało właśnie zachodzić, jego promienie zalewały drzewa i nasz domek złocistym blaskiem. A ten blask stawał się coraz piękniejszy i gęstszy. I z tego blasku wyszedł piękny

młodzieniec z kręconymi włosami, w długich powiewnych, białych szatach, a w jego oczach błyszczała błogość. Podał mi rękę i powiedział: Nie bój się, odważny cierpiętniku, twoje cierpienie już się skończyło, twoja wiara cię ocaliła! Gdy jutro wzejdzie złote słońce, weź kilof i łopatę i udaj się w to miejsce, gdzie Salzbach (Szcawnik), płynący od wschodu, skręca ku północy! Kop tam, a wkrótce tryśnie na ciebie źródło żywej wody. Kąp w nim stopy każdego ranka, a wkrótce będziesz zdrowy i silny jak wcześniej! Potem złoty blask zgaś i młodzieniec zniknął”.

Sny to znikająca piana, odpowiedziała jego żona, ale mężczyzna mocno wierzył i uważał ten sen za szczęśliwy znak, zapowiadający ostateczną zmianę smutnego losu.

Już następnego dnia, wspierany i podtrzymywany przez wąpiącą żonę, uzbrojony w kilof i łopatę, z trudnością udał się we wskazane przez anioła miejsce. Sparaliżowane stopy utrudniały mu każdy krok i nawet stojąc nie chciały spełniać swojej roli. Zmęczeni dotarli w końcu na wskazane miejsce. W radosnym oczekiwaniu na to, co ma nadejść, tkacz wrąbał się w spulchnioną glebę i nagle, niespodziewanie, trysnęła w górę wesoła fontanna, wynagradzając mu jego mocną wiarę.

W czystej, źródlanej wodzie kąpał tkacz swe stopy każdego ranka. Wkrótce mógł już nawet samodzielnie chodzić do tego świeżego źródła, bez niczyjej pomocy. Jego stan z dnia na dzień widocznie się poprawiał i po kilku tygodniach został całkowicie wyleczony.



Teraz mógł wrócić do swego poprzedniego, codziennego zajęcia. Po zaledwie kilku latach odkupił dom i ogród, a serca jego rodziny wypełniła wdzięczność i radość.

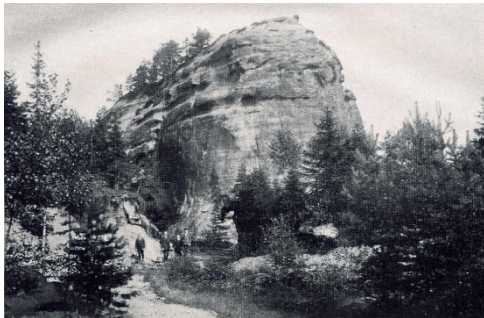
Wiść o cudownym uzdrowieniu szybko rozeszła się po kraju a nawet poza nim. Jak wędrujące żurawie, z bliska i z daleka przybywali chorzy, aby szukać ukojenia dla swych dolegliwości. Wiara i zaufanie biednego tkacza sprawiły, że Salzbach rozkwitło i stało się znanym na całym świecie uzdrowiskiem.

GŁAZY KRASNOLUDKÓW I DIABELSKA MACZUGA

Na koniec wróćmy jeszcze do takich baśniowych stworzeń jak skrzaty i złośliwe diabły. Jest w tych stronach miejsce gdzie z pewnością mieszkały krasnoludki lub inne podobne do nich skrzaty. Miejsce to położone jest w okolicy Różanej (Rosenau) i Gorieszowa (Görtelsdorf), w pobliżu Mieroszowa (Friedland). Jest to niesłychanie malownicze zgrupowanie skał rozciągające się na długości ponad jednego kilometra, na północnym skraju Zaworów, w pobliżu granicy z Czechami.

Już w okresie międzywojennym miejsce to było pomnikiem przyrody a obecnie jest popularnym rezerwatem noszącym nazwę „Głazy Krasnoludków”. Procesy erozyjne wyrzeźbiły w tym terenie malownicze skały o oryginalnych kształtach przypominających baszty, wieżycy, maczugi, grzyby lub ambony. Skały mają znaczne wysokości - od 5 aż do blisko 30 metrów. Pomiędzy ciasno ustawionymi obok siebie skałami przebiegają wąskie ścieżki a nawet częściowo przykryte przejścia i szczeliny. Z Głazami Krasnoludków wiążą się liczne legendy i miejscowe opowieści o skrzatach, diabłach i ukrytych skarbach.

O tym, jak powstały te skały mówi opowieść o pewnym, złym rolniku z Różanej, który akurat w tamtym czasie zwoził z pola swoje płody rolne. Nie chciało mu się jechać drogą okrężną, omijającą duży skalny uskok, więc postanowił pojechać skrótem. Wóz był bardzo ciężki i jego mały koń z wielkim trudem ciągnął go wąską, skalną półką.



Skrzaty, które mieszkały w tych okolicach, widząc że wóz podąża w stronę przepaści, próbowały go zatrzymać. Rolnik nie rozumiejąc intencji dobrych skrzatów odpędził je batem. Maluchy, nie wiedząc co robić, rzuciły się w szprychy kół, próbując je zablokować, aby wóz nie mógł dalej jechać. Wtedy rolnik w złości głośno przeklął i zwrócił się o pomoc do diabła. Diabeł zjawił się natychmiast. Obiecał pomoc w wyprowadzeniu rolnika z tarapatów, torując

mu drogę, którą mógł bezpiecznie przejechać, ale w zamian rolnik musiał obiecać, że po trzech dniach, kiedy zegar wybije godzinę dwunastą w nocy, gdy przyjdzie po niego, będzie mógł zabrać go sobie do piekła.

Kiedy zbliżał się czas tego nieszczęścia, rolnik przesunął zegar o godzinę do przodu. Diabeł już czekał w izbie, lecz zegar zamiast dwunastu uderzeń wybił tylko jedno. Pełne wściekłości czarne diablisko uciekło z powrotem do piekła, a po drodze, w bezsilnej złości, zupełnie nieprzytomnie, rzucało bez opamiętania wyrywającymi z ziemi olbrzymimi skałami i głazami. Tak powstały Głazy Krasnoludków.

Jedną z takich skał upuścił wcześniej między Gorzeszowem a Krzeszówkiem. Ta skała od dawna nazywana jest Diabelską Maczugą (Teufelstein).

Według innej wersji tę kamienną maczugę upuścił inny diabeł, który chcąc zasłużyć na pochwałę w piekle, zamierzał zburzyć klasztor w Krzeszowie (Grüssau). Jednak tak wielka maczuga okazała się zbyt ciężka dla nadgorliwego diabła i wbiła się w ziemię na polu koło Gorzeszowa.

Według dawnych legend w skalnych pokojach wydrążonych w Gorzeszowskich Skałach mieszkały bardzo uczynne i życzliwe dla ludzi skrzaty. Ponoć miały one nawet wydrążone podziemne przejście prowadzące aż do granicy z Czechami w Golińsku (Göhlenau).

Ci dobrzy, mali ludzie często biegali tym korytarzem, aby pomagać w pracy tkaczom i robotnikom pracującym w kamieniołomach. i przy warsztatach tkackich.

Tkaczom pomagali rozplątywać nici ich płócien a w kamieniołomach podpierali bukowymi pniakami zagrażające ludziom, niepewne wyrobiska skalne.

Kiedy mnisi z Krzeszowa zbudowali kościół w pobliskim Kochanowie (Trautliebersdorf), a było to już w XVII wieku, w całej okolicy zaczęły codziennie rozbrzmiewać kościelne dzwony, odbijające się głośnym echem od skał będących ich mieszkaniem. Małe skrzaty nie mogąc tego wytrzymać musiały opuścić swoje domostwa. Pozostał po nich tylko rezerwat „Głazy Krasnoludków”, często odwiedzany przez turystów.

POSŁOWIE

To już koniec; tyle udało się zebrać ze źródeł drukowanych. Bardzo pomocne okazało się epokowe dzieło pod redakcją Marka Staffy „Słownik geografii turystycznej Sudetów”, a w szczególności tomy poświęcone Górom Wałbrzyskim, Górom Kamiennym i Górom Sowim.

Nie będę jednak wymieniał wszystkich źródeł, z których czerpałem pełnymi garściami. Często były to niewielkie informatory turystyczne.

Wskażę jednak pewną niezwykłą książkę, która stała się inspiracją do spisania tych starych wałbrzyskich legend w języku polskim. Legendy te znalazłem w mało znanej, a naprawdę wyjątkowej książce, wydanej w 1925 roku przez wałbrzyskie wydawnictwo G.W. Knorrn i wydrukowanej w tutejszej, wałbrzyskiej drukarni. Nosi ona tytuł: „Ojczyzno moja, kochana i wierna!” Obrazy z górzystej ziemi wałbrzyskiej - („O du Heimat lieb und traut” Bilder aus dem Waldenburger Berglande).

Książkę opracował Max Kleinwächter na zlecenie Komitetu Książki Ojczystej, Koło Naukowe w Wałbrzychu. Pomagali mu w tym nietypowym dziele współpracujący z nim nauczyciele z całego regionu, miejscowi fotografowie a nawet tutejsi górnicy, licząc na uznanie i poparcie Wałbrzyszan.

Wałbrzych i jego okolice były ich ojczyzną, tak jak były nią również dla wszystkich wcześniejszych i późniejszych mieszkańców tego skrawka świata. Obecnie to nasza ojczyzna, dlatego warto poznać legendy związane z tym terenem. Książkę otwiera piękny wiersz miejscowego poety, nauczyciela i kierownika chóru - Eduarda Bechera, którego pierwszy wers jest jednocześnie tytułem książki. Pieśń „Ojczyzno moja kochana i wierna” (bo do wiersza skomponowano także muzykę) powstała w 1890 roku, sześć lat przed śmiercią poety.

Większość przypominanych powyżej ludowych podań i legend zapisano w jednym z rozdziałów książki Maxa Kleinwächtera z 1925 roku (konkretnie w rozdziale VI). Inne rozdziały zawierają opowiadania o wybranych wydarzeniach historycznych, opisują tutejsze zamki i pałace oraz miejsca kultu religijnego.

Nie brakuje tam też ciekawych opowieści o wałbrzyskim górnictwie i innych kwitnących tu do niedawna gałęziach przemysłu (przemysł maszynowy, ceramika, szkło). W lekki sposób omówione tam zostały chyba wszystkie dziedziny wałbrzyskiej gospodarki. Nie zapomniano także o rekreacji, ochronie zdrowia i turystyce. Książka ta jest wielką kopalnią wiedzy o regionie. Z pewnością będę do niej sięgał jeszcze wiele, wiele razy, i chętnie podzielę się tymi informacjami z czytelnikami, mimo iż tłumaczenie tekstów drukowanych niemiecką czcionką gotycką wymaga nieco zachodu.

Boguszów-Gorce 2023